



**POLAND
WELCOME TO**

W numerze:

Ostateczny krach systemu multi-kulti Bartłomiej Radziejewski.	3
Hipergamia – mit przeszłości? Jak nowoczesne randkowanie pogłębia nierówności Jarema Piekutowski.	8
Ruś i Ukraina Eugeniusz Romer.	10
Czy Europa jest gotowa na samodzielną obronę przed Rosją? Robert Kuraszkiewicz.	20
Trzy scenariusze zakończenia wojny na Ukrainie. Eskalacja, trwanie i przewrót prochiński Piotr Michał Kosmęda.	23
Rosyjska gospodarka śmierci nie starczy na długo Piotr Michał Kosmęda.	29
Odrzucone sprawozdanie partii Kaczyńskiego. Czy kontrowersyjna izba SN uratuje PiS? Patrik Gorgol.	34
Skakanie do kielbasy na sznurku. Instytucje publiczne w grze o przetrwanie Jarema Piekutowski.	37
Bez technospowolnienia staniemy przed niemiłym wyborem: miękki czy brutalny autorytaryzm Z Andrzejem Zybortowiczem rozmawia Jarema Piekutowski.	40
Dokument 79. Jak Chiny planują odciąć się od zachodniego oprogramowania i sprzętu Paweł Behrendt.	46
Polska po 1989 bezlitośnie rozliczona. Zdrada elit i moralne upadki Tomasz Szymański.	52
Niemcy przywracają kontrole graniczne. Rośnie poparcie dla Harris Niezbędnik Zagraniczny NK 6-13.09.2024 Gabriela Masztafiak.	56

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego



**Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego**

Ostateczny krach systemu multi-kulti



BARTŁOMIEJ RADZIEJEWSKI

Prezes i założyciel Nowej Konfederacji, ekspert ds. międzynarodowych zainteresowany w szczególności strukturą systemu międzynarodowego, rywalizacją mocarstw, sprawami europejskimi. Autor książki „Nowy porządek globalny”, a także „Między wielkością a zanikiem”, współautor „Wielkiej gry o Ukrainę”, opublikował także setki artykułów, esejów i wywiadów.

Powinniśmy oszacować próg, do którego jesteśmy w stanie zwiększać liczbę imigrantów, i pilnować jego nieprzekroczenia. Należy też zacząć stawiać im wymagania, począwszy od deklaracji lojalności wobec Polski

Nie powinno nam umknąć historyczne znaczenie wypadków, które przetoczyły się ostatnio przez Wielką Brytanię. Po tym jak osiemnastoletni nożownik, Axel Rudakubana, ranił kilkanaście osób, w większości dzieci, część z nich zabijając, miała miejsce znamienita sekwencja zdarzeń. Oto nie tylko natychmiast po tragedii, ale znacznie dłużej, władze i główne media jak ognia unikały jakichkolwiek wzmianek o etniczności i pochodzeniu zbrodniarza, czarnoskórego syna imigrantów z Rwandy. Wkrótce przez kraj przetoczyła się wielka, choć słabo zorganizowana fala antyimigranckich zamieszek. Władze zdołały dość szybko je stłumić. Jednak, obok samego karania sprawców, ich główne polityczne wnioski nie obejmowały ograniczenia imigracji. Postulatu, wydawałoby się, oczywistego, zwłaszcza że kolejne rządy go podejmują, po czym konsekwentnie nie realizują. Lewicowy rząd za główny cel postawił sobie stłumienie na przyszłość możliwości szerzenia haseł antyimigranckich, również poprzez cenzurę mediów

społecznościowych. Idee te ostatnio na wielką skalę „wirusowały” w internecie, wobec całkowitej blokady tematu w głównym nurcie, przyjmując często radykalne formy.

Dlaczego imigrantów jest zbyt wielu?

Historyczne znaczenie wydarzeń brytyjskich jest zatem podwójne. Po pierwsze, widać w nich ostateczne bankructwo idei wielokulturowości, silnie rozpowszechnionej we współczesnej Europie Zachodniej. Spyta ktoś, dlaczego akurat tutaj go upatruję, wobec mnogości podobnych wypadków. Otóż przede wszystkim z tego powodu, że brytyjski model integracji imigrantów uchodzi za najlepszy w Europie. Nie bez powodu: Wyspiarze mają kilkusetletnią tradycję narodu skupionego wokół wartości politycznych (a nie etnicznych), a zatem otwartego na osoby o różnych wyznaniach, pochodzeniu, kolorze skóry. Oraz podobnie długie doświadczenie w efektywnym włączaniu doń

rozmaitych przybyszów, i to na dużą skalę. I to ten właśnie model przestał działać. Pokazuje to także skala i gwałtowność brytyjskich wypadków. Tym bardziej nie mogą się więc sprawdzać modele mniej efektywne, jak francuski, niemiecki czy włoski.

Władze i główne media jak ognia unikały jakichkolwiek wzmianek o etniczności i pochodzeniu zbrodniarza, czarnoskórego syna imigrantów z Rwandy

Widzimy po kolejnych wydarzeniach i procesach w Europie, że imigrantów jest po prostu zbyt wielu, by jakkolwiek system był w stanie ich wszystkich rzeczywiście zintegrować. Oczywiście, pewna część dostosowuje się do lokalnych warunków i zasila szeregi porządných obywateli. Ale zarazem całe ich masy żyją w pewnym sensie poza systemem. Raz po raz atakując go, czy to zamachami terrorystycznymi czy zamieszkami po meczach piłkarskich. A na co dzień – pasyżując na nim, nie tylko przecież w aspekcie socjalnym. I wzbudzając coraz większą frustrację i gniew nieimigranckiej części społeczeństwa, również coraz częściej skłonnej do wybuchów wściekłości i radykalizmu.

Po drugie, historyczne znaczenie wydarzeń na Wyspach polega na całkowitej i konsekwentnej odmowie przyjęcia powyższej prawdy do wiadomości przez lewicowy rząd w Londynie. Ale przecież też przez szeroki front brytyjskich elit,

od politycznych po intelektualne. Ich zdaniem rozwiązaniem problemu nie ma być przede wszystkim ograniczenie imigracji lub usprawnienie integracji przybyszów. Ma nim być ograniczenie możliwości krytyki wielokulturowości. Chciałoby się powiedzieć, że trudno o lepszy przykład samobójczego oderwania współczesnych elit europejskich od rzeczywistości, ale, niestety, tego rodzaju zachowań obserwujemy przecież znacznie więcej. Teraz doświadczając już ich skutków, takich jak sukcesywnie spadająca konkurencyjność i exodus biznesu z Kontynentu.

Europa coraz mniej europejska

Wydarzenia brytyjskie służą nam tu za studium przypadku. Rzecz dotyczy przecież całej „starej” Europy, od Hiszpanii po Niemcy i od Wysp po Apeniny. I coraz bardziej też tej „nowej”, a zwłaszcza Polski, z naszą ogromną rzeszą przybyszów z Ukrainy. Załamywanie się brytyjskiego modelu integracji imigrantów to tylko rodzaj finalnego akordu tej niewesołej symfonii.

Ta odmowa wiedzy w wydaniu europejskich elit, tak dobrze widoczna na przykładzie Zjednoczonego Królestwa, ma miejsce w warunkach rosnącej presji migracyjnej na Kontynent. Statystyki ostatnich lat pokazują to jednoznacznie w odniesieniu do wszystkich głównych krajów Europy. I o ile ograniczanie imigracji przestało być już tematem tabu, a kolejne rządy podejmują rozmaite kroki w tym kierunku, o tyle polityczna skuteczność tych (pół)środków jest niewielka. Liczby przyjezdnych stale rosną.

Ten problem będzie się pogłębiał w perspektywie lat i dekad. Słaba demografia Europy powoduje brak rąk do pracy, co z kolei skutkuje wielką presją biznesu

na ściąganie pracowników tymczasowych. Jednak badania pokazują, że znaczna część z nich zostaje na stałe. Wysoki przyrost naturalny w licznych krajach Afryki i Azji w połączeniu ze zmianami klimatycznymi sprawia, że rzesza emigrantów rośnie, a znacznie bogatsza i hojna socjalnie Europa jest naturalnym miejscem docelowym. Jednocześnie granice pozostają mało szczelne, a multikulturowa poprawność polityczna wciąż zbyt silna, by efektywnie rozwiązać problem.

Europa będzie się więc stawać coraz mniej europejska. Gett imigranckich będzie więcej, napięcie i wybuchów społecznych z nimi związanych – również. O ile więc utopijna idea wielokulturowości jest już intelektualnym bankrutem, o tyle w życiu politycznym trwa i będzie trwać jeszcze długo.

Nie można mieć jednocześnie rządów prawa i prawa szariatu, nie da się pogodzić praw człowieka z ich brakiem

W innych warunkach ów problem mógłby być mniej dotkliwy. Jednak jednocześnie Europa traci konkurencyjność, staje się coraz bardziej strefą stagnacyjno-recesyjną, ma więc coraz mniej zasobów do rozdania. Do tego dochodzi koniec darmowego bezpieczeństwa z USA, tanich surowców z Rosji, sielankowych relacji z Chinami. Zatem jeszcze wyższe koszty, rosące w czasie. Tym większe będą społeczne napięcia i wybuchy związane z niezdolnością do integracji milionów imigrantów.

Szczególne ironia tej sytuacji tkwi w fakcie, że Europa już ten problem przeżywała. Mniej znanym faktem związanym z rządami Oktawiana Augusta jest ten, że regularnie grzmiał on na rzymskie elity za to, że nie płodzą dzieci, w związku z czym imperium brakuje urzędników, polityków, oficerów. Z czasem, jak wiemy, doprowadziło to do masowej „barbaryzacji” armii. Gdy liczby były stosunkowo niewielkie, obcy z pochodzenia żołnierze bez problemu się romanizowali. Jednak po przekroczeniu zdolności absorpcyjnych pojawiły się problemy z lojalnością, tak dotkliwie widoczne w dobie upadku.

Niepomna tej lekcji współczesna Europa powtórzyła ten sam błąd. Pogłębiając go jeszcze absurdalną ideą wielokulturowości. Przecież wielość równoprawnych, a niespójnych systemów wartości w sposób nieuchronny prowadzi do konfliktu. Nie można mieć jednocześnie rządów prawa i prawa szariatu, nie da się pogodzić praw człowieka z ich brakiem. Żeby społeczeństwo mogło trwać w pokoju, musi istnieć unifikująca zróżnicowane grupy kultura. I może być ona tylko jedna. A i to, jak wiemy z historii (dawnej i nowej), umożliwia integrację imigrantów tylko do pewnej skali – do poziomu zdolności absorpcji. Ulegnięcie szarlatanom multi-kulti ma więc wszelkie szanse przejść do historii jako jedno z najbardziej spektakularnych działań samobójczych Europy.

Polska bomba migracyjna

Polski problem z imigracją jest stosunkowo świeży. Jest już jednak jednym z największych na Kontynencie. Oficjalnie niechętny przybyszom rząd PiS przeszedł do historii jako ten, który ściągnął do kraju najwięcej pracowników tymczasowych w Europie, w dużej mierze z Azji. Część z nich zostanie

na stałe. Równoległe napływały do Polski setki tysięcy Ukraińców, a po lutym 2022 r. ich liczba gwałtownie wzrosła. Według ZUS mamy obecnie (na koniec 2023 r.) ponad milion zarejestrowanych imigrantów. Realna liczba jest zapewne znacznie wyższa. Fatalna demografia – jedna z najgorszych na świecie – tworzy presję na dalszy przyrost. Idziemy drogą Europy Zachodniej, tej starożytnej i tej współczesnej.

Jednak wszystko to w warunkach braku jakiegokolwiek strategii integracyjnej. Wciąż obowiązują anachroniczne przepisy obliczone na śladowe liczby imigrantów. Na ich mocy zezwolenia na pobyt tymczasowy są automatycznie przedłużane, a po pewnym czasie mocą samego „zasiedzenia” można się ubiegać o obywatelstwo. Szykujemy sobie bombę społeczną związaną z setkami tysięcy, jeśli nie milionami formalnych obywateli, realnie niezintegrowanymi i niepoczuwającymi się do lojalności wobec państwa polskiego. Nawiasem mówiąc imigranci w pierwszym pokoleniu z reguły rozmnażają się powyżej średniej, dopiero w kolejnych przejmując lokalne nawyki w tym względzie.

Pewnym polskim atutem w porównaniu do Europy Zachodniej jest brak podobnie rozbuchanego systemu pomocy socjalnej. Praca, w przeciwieństwie do życia z zasiłków, sprzyja integracji. To jednak nie wystarczy. Natychmiast potrzebujemy poważnej debaty – i decyzji – w tej materii. Powinny były się one odbyć wiele lat temu, nawiasem mówiąc.

Co zatem robić? Po pierwsze, oszacować polskie zdolności absorpcyjne. Próg, do którego jesteśmy w stanie zwiększać liczbę imigrantów. I pilnować jego nieprzekraczania. Po drugie, stworzyć mądrą strategię integracyjną. Powinna się ona zacząć od sprawy doprawdy wielkiej: po-

stawienia na porządku dziennym narodu polskiego jako jednoznacznie politycznego, a nie etnicznego. Dalej, należy zacząć stawiać imigrantom wymagania. Od deklaracji lojalności wobec państwa przyjmującego (jak robią od dekad np. Łotysze), przez znajomość prawa i kultury, po służbę wojskową. Trzeba też – wzorem amerykańskim – przeciwdziałać tworzeniu się zintegrowanych wewnętrznie skupisk imigrantów, dbając o ich równomierne rozmieszczenie na przestrzeni tak kraju, jak i poszczególnych miejscowości.

**Oficjalnie niechętny
przybyszom rząd PiS
przeszedł do historii jako
ten, który ściągnął do kraju
najwięcej pracowników
tymczasowych w Europie,
w dużej mierze z Azji**

Po trzecie, priorytetem migracyjnym powinno być ściągnięcie do kraju Polaków z zagranicy. Nie tylko repatriacja, lecz dążenie do imigracji rodaków z Wysp czy z obu Ameryk. W dalszej kolejności: ściągnięcie nie-Polaków możliwie bliskich kulturowo. Ze świadomością, że źródła ukraińskie i białoruskie wkrótce wyschną ze względów demograficznych. Jednym z interesujących kierunków wydaje się być na przykład biała mniejszość w Republice Południowej Afryki, obecnie prześladowana.

Last but not least: musimy odbudować własny przyrost naturalny. Oczekiwany efekt dla rynku pracy będzie widoczny

(w razie sukcesu) dopiero za dekady, jednak już teraz pilnie należy nadrobić tę zaległość. Powinna ona oznaczać zarówno głęboką reformę polityki pronatalistycznej, jak i wielką debatę o czynnikach kulturowych. Jeśli na przykład badania pokazują, że wsparcie finansowe ma malejące znaczenie przy decyzji o każdym kolejnym dziecku, to trzeba je przeskalować, a nie dawać po równo. Natomiast poważna debata na temat odbudowy rozrodczości nie może abstrahować od kwestii kulturowych, o które rozbijają się najlepsze systemy pronatalistyczne. W tym proble-

mów konsumpcjonizmu czy trendów alienacji związanych z rewolucją cyfrową.

Jeszcze nie jest za późno, by Polska stała się krajem imigracyjnego sukcesu. Możemy być „ziemią obiecaną” dla odpowiednio małej – i wystarczająco dużej – liczby przybyszów szukających tu lepszej przyszłości. Z czasem stających się Polakami i budujących siłę naszego kraju. Wymaga to jedna zdecydowanego zawrócenia z obecnej drogi. Przełamania schematów myślowych, inercji i niemożności. Ustanowienia nowych reguł, adekwatnych do nowych warunków.

Hipergamia – mit przeszłości?

Jak nowoczesne randkowanie pogłębia nierówności



JAREMA PIEKUTOWSKI

Członek zespołu, główny ekspert ds. społecznych

Dyskusje o preferowaniu przez kobiety partnerów o wyższym statusie społecznym są popularne w niektórych internetowych środowiskach. Choć zjawisko to powoli zanika, współczesne randkowanie prowadzi do wzrostu nierówności w społeczeństwie

W środowiskach internetowych gromadzących samotnych mężczyzn popularne są twierdzenia o hipergamii kobiet – zjawisku, które ma polegać na tym, że kobiety wybierają sobie partnerów o wyższym statusie niż one same: mężczyzn bogatszych, lepiej wykształconych i atrakcyjniejszych. W skrajnej postaci, wśród zwolenników pesymistycznej idei blackpillu, owa hipergamia ma prowadzić do sytuacji, w której 80% kobiet zainteresowanych jest jedynie 20% najatrakcyjniejszych mężczyzn. Tezy o hipergamii, która ma być rzekomo specyficznym sposobem zachowania kobiet, głosi także Jordan Peterson. „Kobiety wybierają na partnerów mężczyzn o wyższym statusie, mężczyźni wybierają kobiety o statusie takim samym lub niższym” – mówi Kanadyjczyk. Wspiera swoje tezy argumentami z dziedziny socjobiologii: ciąża i macierzyństwo wiążą się z długoterminowymi inwestycjami energetycznymi oraz ryzykiem zdrowotnym. Stąd, zdaniem Petersona, u kobiet potrzeba większej ostrożności w doborze

partnera, aby minimalizować zagrożenia, takie jak brak wsparcia w przyszłości.

Zwolennicy tezy o hipergamii kobiet najwyraźniej jednak nie są na czasie z najnowszymi badaniami. Owszem, zjawisko to występowało w przeszłości, jednak przemiany społeczne ostatnich lat wskazują na jego zanikanie. O końcu hipergamii pisali choćby Dávid Erát czy Albert Esteve z zespołem. Zaskakujących wniosków na temat tego procesu dostarcza opublikowane w niedawno badanie Federal Reserve Bank of St. Louis.

Autorzy piszą, że wyniki ich analiz wskazują na spadek (w porównaniu z latami 60. czy 80. XX wieku) liczby mężczyzn wybierających partnerki o niskim poziomie wykształcenia, niezainteresowanych pracą zawodową, preferujących pozostawanie w domu. Jednocześnie „o ile w przeszłości kobiety wybierały partnerów z najwyższym wykształceniem, to w ostatnich latach coraz częściej wybierają partnerów o podobnym poziomie wykształcenia”. Hipergamia staje się więc – co

wskazują także Erát i Esteve – pieśnią przeszłości. Osoby obu płci dążą do wyboru partnerów podobnych pod względem cech społeczno-ekonomicznych. Dużo rzadsze niż 20, 30 czy 50 lat temu są związki mężczyzny z wyższym wykształceniem z kobietą z wykształceniem średnim czy podstawowym, z klasy ludowej, lub odwrotnie.

Nowa pułapka

I tu następuje zwrot akcji: zdaniem autorów badania ta sytuacja może przyczyniać się do nierówności ekonomicznych. Współczesne aplikacje randkowe, które umożliwiają precyzyjne filtrowanie potencjalnych partnerów według kryteriów społeczno-ekonomicznych, sprzyjają wyborom osób podobnych. W efekcie osoby z wyższymi kwalifikacjami i dochodami częściej łączą się w pary, co prowadzi do kumulacji bogactwa w niektórych gospodarstwach domowych i rosnącej przepaści między bogatymi a resztą społeczeństwa.

W latach 60. czy 80. XX wieku, kiedy aplikacje randkowe nie istniały, a większość ludzi poznawała swoich partnerów w środowiskach bardziej zróżnicowanych społecznie (np. poprzez przyjaciół, pracę czy miejsca publiczne), pary były częściej łączone w sposób bardziej losowy, co zmniejszało prawdopodobieństwo „selektywności pionowej”. Ludzie mieli mniejsze możliwości dokładnego wyboru partnera na podstawie kryteriów ekonomicznych czy edukacyjnych, co sprawiało, że dochody i poziom wykształcenia w związkach były bardziej zróżnicowane. Wiązanie się w przeszłości bogatych mężczyzn z uboższymi kobietami pozwalało na awans społeczny tych ostatnich.

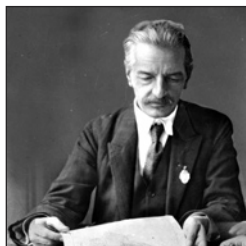
Obecnie jednak, gdy technologia umożliwia dokładne dobieranie partnerów o po-

dobnym statusie, dochodzi do tzw. „klasowego” zawężania związków. W praktyce oznacza to, że zamożne osoby z wysokimi kwalifikacjami łączą się w pary i dalej akumulują bogactwo, podczas gdy osoby o niższych dochodach mają mniejsze szanse na poprawę swojej sytuacji ekonomicznej przez małżeństwo. To prowadzi do wzrostu nierówności między gospodarstwami domowymi, ponieważ zamożniejsze pary kumulują więcej zasobów i przewag społecznych, pogłębiając różnice ekonomiczne w społeczeństwie.

Współczesne aplikacje randkowe sprzyjają łączeniu się osób o podobnym statusie społeczno-ekonomicznym, co pogłębia nierówności ekonomiczne

Z drugiej strony wybór partnera bardziej podobnego do siebie może przynajmniej teoretycznie przyczynić się do lepszego porozumienia w małżeństwie i do uniknięcia konfliktów wynikających z różnic w postrzeganiu świata. Tak czy inaczej – za rosnące także wśród młodych Polaków poczucie samotności (wg badania Instytutu Pokolenia z 2023 r. samotność silnie odczuwa aż 55% mężczyzn od 18 do 24 roku życia) wbrew głośzonym powszechnie poglądom najprawdopodobniej nie odpowiada rzekoma hipergamia kobiet. Przyczyny tego stanu rzeczy trzeba natomiast badać w sposób pogłębiony, gdyż jej skutki dla zdrowia psychicznego już stają się opłakane.

Ruś i Ukraina



EUGENIUSZ ROMER

Polski geograf, geolog, kartograf i pedagog. Jeden z twórców polskiej myśli geopolitycznej. Profesor Uniwersytetu Lwowskiego i Jagiellońskiego, członek Polskiej Akademii Nauk. Twórca geopolitycznej koncepcji „pomostowości” ziem polskich, wskazującej na kluczową rolę terytorium Rzeczypospolitej w obszarze między Morzem Bałtyckim i Czarnym.

Wszyscy polscy historycy, politycy i literaci posługują się wyłącznie nazwami „Ruś” i „Rusini”. Nazwa „Ukraina”, czy też „ukraiński” oznaczała w Polsce kresy. Fragment książki „Pisma geopolityczne”

Odwieczną nazwę Ruś powtarza już Długosz, oddając po łacinie głoskę „ś” przez „ssz”; pisząc zatem o jednym z wnuków Lecha „Russz”, a używając wyrażen: regio Ruthenicalis, Ruthenorum principatus, Rutheni, staje się Długosz protoplastą zachodnioeuropejskich określeń na kraj i ludzi, których Polska mianowała od wieków „Rusią” i „Rusinami”.

Wszyscy polscy historycy, politycy i literaci posługują się wyłącznie nazwami „Ruś” i „Rusini”.

Nazwa „Ukraina”, czy też „ukraiński”, pospolita na całej Słowiańszczyźnie, nigdzie ściśle nieokreślona, oznaczała w Polsce kresy.

Liczne wzmianki w literaturze XVII w. o wojsku „ukrainnym” rzucają nieco inne światło na znaczenie tego w Polsce używanego słowa. Oto o kozakach, o ich rejestracji, o Zaporozżu mowa!

W tym pojęciu znano jednak w Polsce to słowo tylko w gorących dniach wojen kozackich; przedtem i później powrócono

do określenia nim pewnego krajobrazowego i kulturalnego obszaru, rozpostartego po obu brzegach średniego i dolnego Dniepru. Pojęcie Ukrainy zdobyło z wolna w Polsce te same prawa, jak nazwa Prus, Warmii, Kujaw, Mazowsza, Litwy, Żmudzi czy Wołynia, Podola lub Podlasia, z tą jednak ważną różnicą, że – nie tak ściśle określone – do polskiej państwowej nomenklatury administracyjnej nigdy nie weszło.

Niemniej do ostatnich chwil pospolite nazwy „Litwa” czy „Ukraina” nie budziły w nas żadnej wątpliwości, że mowa o polskiej ojcowiznie Polaka.

W tej nomenklaturze, ani na całym świecie, ani w Polsce, do ostatniej chwili nic nie drgnęło! Także na Rusi!

Dodam na zakończenie tego zbioru dokumentów, że politycznie najbardziej wobec Polski bojowy „Sojuz Rusinok” zmienił swą nazwę na „Sojuz Ukrainok” dopiero w roku 1918¹.

¹ Według Tomasza Pudłockiego z Uniwersytetu Jagiellońskiego „Sojuz Ukrainok” (Союз українок) –

Życie i prawo

W terenie południowego wschodu Rzeczypospolitej lud polski pozostał odwiecznej tradycji wierny i pojęciem „Ukraińców” określa tylko tych, którzy wprost uczestniczyli w bojach w roku 1919 przeciw Polsce, bądź wreszcie zdeklarowanych separatystów i wrogów państwa, narodu i ludu polskiego, wreszcie zna tylko Rusinów, mówiących po rusku.

Na tych samych podstawach kulturalnej tradycji języka polskiego stoi polskie ustawodawstwo o języku państwowym i języku urzędowania sądów z roku 1924.

Obie te ustawy są, co prawda, fatalne, i to tym bardziej gdy się zważy, o ile one dalej idą w swych zobowiązaniach w stosunku do mniejszości, aniżeli narzucony nam w roku 1919 traktat o „mniejszościach”². Może godzi się przypomnieć, że traktat ten ogranicza się do „udzielenia mniejszościom prawa zakładania własnym kosztem instytucji dobroczynnych, religijnych lub społecznych, szkół i innych zakładów wychowawczych oraz prawa swobodnego używania w nich własnego języka” (Art. 8), wreszcie, że rząd polski w okręgach ze znacznym procentem obywateli, posługujących się innym językiem niż polski, „udzieli w sprawach nauczania publicznego odpowiednich ułatwień, zapewniających w szkołach początkowych udzielanie dzieciom takich obywateli nauki w ich własnym języku” (Art. 9). Tyle i nic więcej. O ile więcej dają mniejszościom polskie ustawy językowe z roku 1924, a zwłaszcza ich praktyka, zbyteczne się

nad tym rozwodzić. Ważniejszy i szkodliwszy od tych „naduprawnień”, wynikających z tej ustawy, jest fakt, że wprowadzają one dyskusję na temat językowy czy to w sprawach szkolnych, języka obrad, czy napisów publicznych; że do tej dyskusji uprawniają nie tylko każdą gminę, ale niemal każdego osobnika w każdej chwili, w obliczu wszelkiej władzy administracyjnej czy sądowej, słowem zawieszają nad tymi nieszczęsnymi dziedzinami chaotyczną zasadę plebiscytu.

**Wszyscy polscy historycy,
politycy i literaci posługują
się wyłącznie nazwami
„Ruś” i „Rusini”**

Ale zamiast rzecz poprawić, my tymczasem szukamy z dziwną radością winnych, a zapominamy o dwóch rzeczach. Zapominamy więc, że cztery lata po zwycięstwie zachowaliśmy na obszarze polsko-ruskim w mocy austriacką ustawę językową, z którą zatem ustawa polska z roku 1924 musiała się liczyć, a wobec której była z polskiego punktu widzenia pod każdym względem dodatnia, a po wtóre i przede wszystkim zapominamy, że od czasu wydania ustawy minęło już lat 15, czas więc sprawia, że – jak w tylu przypadkach – co najmniej wszyscy winniśmy!

powstał w 1920 r. na bazie kilku innych bardzo aktywnych ukraińskich organizacji kobiecych, działających zarówno we Lwowie, jak i na prowincji. Była to organizacja masowa, mająca swoje oddziały we wszystkich większych miastach Galicji (Małopolski Wschodniej (przyp. red.).

² 28 czerwca 1919 r. Polska wraz z Czechosłowacją, Grecją, Rumunią oraz Królestwem Serbów, Chorwatów i Słoweńców podpisała traktat gwarantujący ochronę praw mniejszości narodowych zamieszkujących na ich terytorium (przyp. red.).

Zamykając co rychlej tę wstydlivą rozprawę, stwierdzamy w końcu, że polskie ustawy językowe pozostały jednak polskiej tradycji kulturalnej w pełni wierne i mówią wyraźnie tylko o czterech językach mniejszościowych: ruskim, białoruskim, litewskim i niemieckim, mówią więc też o analogicznych mniejszościach narodowych.

Brak nam niemal wszelkich podstaw do oceny, w jaki sposób mniejszości istniejący dotąd stan prawny wyzyskały i jaki się ukształtował pod tym wpływem stosunek w terenie. Podajemy kilka danych z terenów województwa lwowskiego.

Na ogólną liczbę 252 rad gmin zbiorowych obradowało 89 w obu językach: polskim i ruskim, 163 wyłącznie w języku polskim (65%)

Na całym obszarze województwa lwowskiego są, z nielicznymi wyjątkami, wszystkie tablice orientacyjne na drogach publicznych sporządzone w języku polskim z jedynym osobliwym i – ze względu na tzw. kordon sokalski – doprawdy strategicznym wyjątkiem powiatu sokalskiego.

Tu i ówdzie poza tym umieszczono na urzędach gminnych dwujęzyczne napisy, gdzie indziej – w bardzo wreszcie nielicznych wypadkach – sporządzono orientacyjne tablice drogowe w dwóch językach. Działo się to zgodnie z ustawą na podstawie odnośnych uchwał rad gminnych, działo się to i bezprawnie przez zarządzenia sołtysów. Wiadomo jest i o takich kome-

diach: na jednym posiedzeniu rady zapada uchwała o wprowadzenie dwujęzycznych tablic drogowych, na drugim uchwała ulega kasacji (unieważnieniu, kasacji – przyp. red.).

Oczywiste drobiazgi, ale nie jest drobiazgiem ta atmosfera, która na tle tych igraszek się wzburza!

Daleko ważniejsza jest sprawa języka obrad w samorządowych ciałach gminnych i gromadzkich. Z początkiem roku 1937 taki się stan rzeczy ukształtował na obszarze województwa lwowskiego.

Na ogólną liczbę 252 rad gmin zbiorowych obradowało 89 w obu językach: polskim i ruskim, 163 wyłącznie w języku polskim (65%). Na 2206 gromad obradowało 264 wyłącznie w języku ruskim, 817 w dwu językach: polskim i ruskim, 1125 wyłącznie w języku polskim. Jeszcze korzystniej przedstawia się sprawa języka protokołu obrad, który – rzecz można na całym obszarze województwa lwowskiego – był wyłącznie polskim. Tylko 4 rady gminne (1,6%) i 38 rad gromadzkich (1,7%) prowadzi protokoły obrad w dwu językach.

Powyższe wywody i dane liczbowe można by zakończyć pełnym zadowolenia okrzykiem: wszystko w porządku!

Półoficjalna: „Ukraina”

Być może, że tak w pełni dobrze by było, gdyby nie pewne osobliwe ale!

Jakaś zmore zawisła między dołem i górą, gdy tylko rozmowa czy dyskusja dotknęła polskiej racji stanu, czy to w sprawach gospodarczych, zwłaszcza rolnych, czy też kulturalnych południowego wschodu Rzeczypospolitej. Jakoś języki się nie rozwiązywały. A padały i takie zdania: „My społeczeństwa w tych sprawach nie potrzebujemy”!

Pozostały tylko nieszczęsne skutki tego okresu i mrozące wspomnienia!

W tym jednak okresie, jak mi się zdaje, powstała całej górze właściwa i całemu społeczeństwu narzucana terminologia: „Ukraina”, „ukraiński” w rozumieniu „ukraińskim”, a z całkowitym wykluczeniem nazw: „Ruś”, „ruski”.

Ci, którym powierzono opiekę i kierownictwo sprawami tych ziem z punktu widzenia polskiej racji stanu, bez wyjątku znają tylko termin i pojęcie: „Ukraina”, „Ukraińcy”

Długo się przeciw temu buntowałem, każdy mój publiczny występ rozpoczynałem uporczywym *caeterum censeo*³, aż się przekonałem, że wszyscy, dosłownie wszyscy, są głusi na moje wołania.

Nareszcie ubiegłej niedzieli, dnia 5 lutego, dowiedziałem się na zebraniu Rady Sekretariatu Organizacji Polskich południowego wschodu Rzeczypospolitej, że poza wojewodą lwowskim, który różnił Rusinów od Ukraińców, nawet ci, którym powierzono opiekę i kierownictwo sprawami tych ziem z punktu widzenia polskiej racji stanu, bez wyjątku znają tylko termin i pojęcie: „Ukraina”, „Ukraińcy”.

Świadom w całej pełni, że nie o puste słowa idzie, ale o nazwę narodową, świadom, że w takiej nazwie mieści się głęboka

treść ideologiczna, pytam się, dokąd zdążamy, a raczej dokąd jesteście wiedzeni?!

Spustoszenia półoficjalnej „Ukrainy”

Zanim postaram się odpowiedzieć na to tak bardzo mnie niepokojące pytanie, rekapituluję fakty:

1. Nazwy „Ukraina”, „Ukraińcy”, „ukraiński” w narzuconym im dzisiaj pojęciu są nowotworem, niezgodnym z wielowiekową tradycją kulturalną i językową narodu polskiego.

Pierwszy rzeczoznawca polski w tych sprawach, prof. Nitsch, rozstrzyga sprawę następująco:

Dla odnośnego pojęcia istnieją w języku polskim dwa terminy: naukowy i narodowy. Terminowi naukowemu: Małorusi i małoruski, przeciwstawia się termin narodowy: Rusini i ruski.

W wywodzie swym przyłącza się wreszcie Nitsch do powszechnego już w nauce ruskiej kierunku i przyznaje, że terminy te w ruskim języku brzmią: „Ukraineć” i „ukraiński”, („Język Polski”, t. XII, s. 72).

2. Do tej przyjętej przez naukę ruską nazwy przyłączyła się, jak wiadomo, część narodu polskiego, wykonująca państwową egzekutywę, w tym stopniu, że do instrukcji spisu ludności, wbrew tradycji polskiej, nauce i ustawom językowym, wprowadziła termin: „język ukraiński” i ten termin podczas spisu ludności z roku 1931 w tym stopniu bodaj forsowała, że na Wołyniu na 1 418 334 osobników, którzy przyznali się do języka ukraińskiego, spis wykazał tylko nieco ponad 8000 mówiących po rusku.

3. Dzięki tym oczywistym nastrojom polskiej administracji spis ludności z roku

³ Łac. ‘Myślę jednak’ (przyp. red.).

1931 nie oddaje w ogóle obrazu „ukraińskiej” rzeczywistości w terenie. Oto istotna lekcja tego spisu. W myśl liczb spisowych przypada na 100 Rusinów na Wołyniu 16 000 Ukraińców, w województwie staniślawowskim tylko 213, w tarnopolskim 123, w lwowskim dosłownie tylko 119. W politycznie „ukraińsko” uświadomionych województwach jest od 80 do 150 razy mniej „Ukraińców” aniżeli na Wołyniu, w roku 1931 zapewne jeszcze zupełnie nieuświadomionym.

W politycznie „ukraińsko” uświadomionych województwach jest od 80 do 150 razy mniej „Ukraińców” aniżeli na Wołyniu

Jest znamienne, że na Łemkowszczyźnie, do której przed 10 laty nie doszła jeszcze w wyższym stopniu agitacja „ukraińska”, a administracja państwowa sfolgowała zapewne w tym terenie w swych sentymentach dla językowej nowinki, spis wykazał na 100 Rusinów tylko 19 Ukraińców.

Wszystkie te liczby wiodą do wniosku, że polska protekcja dla nowinki termino-

logicznej kłóci się i z polską tradycją kulturalną, i ze stanowiskiem nauki, a państwu i polskiej racji stanu przynosi niewątpliwą szkodę.

Odchodząc od problemów politycznych, które się wiążą z terminologią narodów, wejdźmy na chwilę w szarżynę codziennego życia polskiego na południowym wschodzie Rzeczypospolitej. Przecież nie wolno nam zapominać, że zapewne wielka liczba Polaków greckokatolickiego wyznania, może nie mniejsza liczba Polaków rzymskokatolickiej wiary, posługuje się w domu językiem ruskim, a szlachta zagrodowa tych ziem zna w pewnym procencie w ogóle tylko język ruski; czy stosowanie w języku tych ludzi, z krwi i kości naszych, nazwy „ukraiński” nabitej dynamitem nienawiści nie zniszczy nam wysiłków, skierowanych ku rewindykacji dusz polskich zaledwie poczętych? *Caueant consules!*⁴

Źródła półoficjalnej „Ukrainy”

Wobec powyższego pozostaje niemal już tylko jedna hipoteza wyjaśnienia zamiłowania do „ukrainizmu”, a mianowicie, że istnieją, a może i przeważają, w Polsce poglądy, jakoby możliwie szybka „ukrainizacja” ruskiej ludności w Polsce leżała w interesie polskiej racji stanu.

Chociaż wydaje mi się to paradoksalne, stać niestety Polskę i na to. W pełnej jasności hołduje takim poglądom bodaj jednak tylko p. Bączkowski⁵ i Spółka z „Biuletynu Polsko-Ukraińskiego”.

⁴ Łac. ‘Niech konsulowie czuwają (by państwo nie doznało uszczerbku)’ (przyp. red.).

⁵ Włodzimierz Bączkowski (1905–2000) – polski pisarz polityczny, sowietolog, działacz ruchu prometejskiego. Współpracował z wywiadem II RP. Współtworzył warszawski Instytut Wschodni, jeden z pierwszych polskich ośrodków eksperckich. Wokół działalności tej placówki rozwinęły się liczne inicjatywy, skupiające młodych polskich intelektualistów zainteresowanych szeroko pojętym Wschodem. Bączkowski publikował m.in. w „Biuletynie Polsko-Ukraińskim”, „Problemach Europy Wschodniej” oraz periodyku „Wschód–Orient” (przyp. red.).

Gdyby nie istniał naród, lecz ukraińska masa etnograficzna – woła p. Bączkowski – to należałoby jej pomóc w osiągnięciu świadomości narodowej!

Cytując te słowa, w tym ścisłym sensie obłądne, wkraczamy na szlaki tzw. prometeizmu⁶ i widzi mi się, że na tych szlakach uda mi się odkryć źródło powstania sentymentów polskich dla terminologii „ukraińskiej”, uda mi się znaleźć dla nich co najmniej zrozumienie, a wtedy może i odwrót stanie się łatwiejszy!

Istnieją, a może i przeważają, w Polsce poglądy, jakoby możliwie szybka „ukrainizacja” ruskiej ludności w Polsce leżała w interesie polskiej racji stanu

Nie wolno nam zapominać, że ostatnim wielkim apostołem prometeizmu był w Polsce Piłsudski, że nie tylko marzył, ale że swą ideę realizował w wielkim stylu.

Nawet nie siląc się na to, by oszacować liczbę ludzi, owych dziesiątek tysięcy, któ-

rzy z zapalem służyli idei swego Wodza, to pewne jest dla nas, że pozostały liczne tysiące na najbardziej naczelnych stanowiskach wszelkich gałęzi polskiego życia, w których krew i kości wżarło się wspomnienie krwi serdecznej wylanej z Piłsudskim o Ukrainę.

Ani zdrada, ni podstęp, nawet ta „mgławica” ukraińskiego rządu na Ukrainie, nie zdołały podkopać tej przemożnej emocji, która z Dzikich Pól pozostała im na całe życie.

Dla tej wielkiej i możnej plejady Polaków „Ukraina” i „ukraiński”, będące treścią ich przeżyć, stały się ich żywą częścią, więc także częścią polskiej tradycji.

Nie tylko sobie, mniemam, że i wielu innym wiele w tej dziedzinie zdołałem wytłumaczyć, może i usprawiedliwić, ale też i do rozwagi skłonić!

Może nie od rzeczy będzie w końcu podkreślić, że w całym tym wielkim akcie dziejów polskich wyprawy Piłsudskiego na Kijów, a także w jej podłożu dyplomatycznym, rozmowach Piłsudskiego z Petlurą⁷, wytyczną nie tylko ideową, ale też podstawą terytorialną była wiekopomna ugoda hadziacka⁸. Tego nie wolno nikomu zapominać!

Oto źródło znaczeniowe polskich pobudek przemianowania dotychczasowej polskiej nomenklatury na „Ukraina”, „ukraiński”.

⁶ Prometeizm, rozumiany jako prowadzenie wśród narodów ZSRR akcji politycznej celem wspierania wszelkich ekstremizmów i irredent skierowanych przeciw władzy Moskwy, co ostatecznie miało skutkować rozbiciem od wewnątrz „po szwach narodowych” mocarstwa rosyjskiego, był zdaniem Bączkowskiego jedynym naprawdę skutecznym programem politycznym względem ZSRR (przyp. red.).

⁷ Symon Wasylowycz Petlura (1879–1926) – ukraiński polityk i jeden z przywódców Ukraińskiej Republiki Ludowej w latach 1919–1926 (od 1921 r. na uchodźstwie). Zwolennik sojuszu z Polską skierowanego przeciwko bolszewickiej Rosji (przyp. red.).

⁸ Unia hadziacka – zawarta 16 września 1658 r. w Hadziaczu umowa między Rzeczpospolitą Obojga Narodów a Kozackim Wojskiem Zaporoskim. Na mocy jej postanowień miała powstać unia złożona z trzech równoprawnych części: Korony, Wielkiego Księstwa Litewskiego i Wielkiego Księstwa Ruskiego, które składać się miało z województw kijowskiego, braclawskiego i czernihowskiego (przyp. red.).

Działo się to anno 1920 w ogniu i złudzie hasła: „Za naszą i waszą wolność”!

Ukraina naładowana dynamitem nienawiści

Przejdźmy do oświetlenia pobudek ruskich tej samej nomenklatury.

Imię i nazwisko każdej osoby, zarówno jednostkowej, jak i zbiorowej, stanowią pierwszorzędny dokument. W nazwiskach narodowych wartość nazwy, jako dokumentu, niepomrotnie wzrasta, wszak dzieje nadają każdej nazwie narodu piętno ideowego programu.

Zmiana nazwiska osobowego budzi niepokojące pytanie co do moralnych pobudek czynu; w zmianie nazwy narodu, w ogóle w dziejach nieznaney, musimy się dopatrywać nagłej zmiany ideologii narodowej, nagłej zmiany frontu w woli i czynach narodu.

Zmiana nazwy narodu, nazwy wiekuistej, to coś więcej niż zmiana nazwy osobowej, ba, coś więcej niż zmiana wyznania. Ale w pobudkach oba te objawy są pokrewne. Jeśli też odwieczna nazwa Rusi i Rusinów uległa nagłej zmianie, to proces ten dowodzi, że Ruś i Rusini do pory procesu przemianowania i podczas tego procesu pozbawieni byli pełnej świadomości narodowej, że zmiana ta została grupie etnicznej politycznie narzucona, a ci, którzy tego dokonali, mieli tę świadomość, że z narzuceniem nowej nazwy „Ukraina”, „ukraiński”, wzniecić zamierzają w tworzącym się narodzie pewną, przez nich skonstruowaną, nową wiarę i wolę.

Wiemy, że ta nowa wiara i ta nowa wola była już w pierwiastkach powstawania

nowej nazwy wprost zwrócona przeciw Polakom w zaborze austriackim przed wojną, a w roku 1919 z narzuceniem Galicji Wschodniej miana Zachodniej Ukrainy⁹, a rozpętaniem wojny domowej, stała się ta nazwa hasłem separatyzmu, irredentyzmu i nieprzeblaganej walki, wytoczonej całemu narodowi i państwu polskiemu.

W wielkim akcie dziejów polskich wyprawy Piłsudskiego na Kijów, a także w jej podłożu dyplomatycznym, rozmowach Piłsudskiego z Petlurą, wytyczną nie tylko ideową, ale też podstawą terytorialną była wiekopomna ugoda hadziacka

Nazwa ta była naładowana dynamitem buntu przeciwko Polsce. Ta nazwa przekreślała całą polsko-ruską przeszłość, a jej źródła, tryskające z nienawiści, wykluczały nawet wszelki narodowo-ruski interes, jeśli chodziło o współpracę z Polską w odbudowie wolnej, z Polską sfederowanej Rusi!

Wszak rzucając w zapomnienie świeżą, na południowym wschodzie Rzeczypospolitej przelaną krew, podnosi Piłsudski

⁹ Romer ma tu zapewne na myśli Zachodnioukraińską Republikę Ludową, państwo powstałe 1 listopada 1918 r., którego stolicą w zamyśle twórców miał być Lwów (przyp. red.).

hasło prometeizmu, a odbudowując fundamenty ugody hadziackiej, rusza z Petlurą i Pawlenką¹⁰ na Kijów!

Dlaczego wtedy nie padło hasło „Ruś”, nie tylko staropolskie, szczere słowo, ale owo słowo w unii hadziackiej związane z polskim i litewskim imieniem jako naród i państwo, jako „wolni z wolnymi, równi z równymi i zacni z zacnymi”?!

Nieznane są tajniki dyplomacji, ale wszystkie fakty i objawy służą niemal za dowody, że nazwę Ruś odrzuciła strona przeciwna, bo nawet w takiej osobliwej chwili wyprawy na Kijów nie miała dobrej woli współpracy z Polską, a uczucia nienawiści do Polski przemogły nad wszystkimi innymi uczuciami.

Ostatnie dwa lata wojny światowej roją się od pomysłów prometejskich, to w krajach ententy, to przede wszystkim w Niemczech, które właściwą farbę tych pomysłów pokazują w Brześciu Litewskim¹¹. Wszystkie te pomysły, zakazane nastrojami „ukraińskimi”, są zawsze i wszędzie zwrócone przeciwko Polsce.

Jak doniosłą rolę w tym wszystkim odgrywają nie tylko nastroje, ale najwierniej odzwierciedlająca terminologia „ukraińska”, udowodnił wymowny incydent Rusi czy Ukrainy Podkarpackiej!

Wyznania p. Panejki

Jeden z wytrawnych polityków „ukraińskich”, zastępca przewodniczącego delegacji na konferencję pokojową w Paryżu, Bazyli Panejko, z podziwu godną a bezceremonialną otwartością nakreślił w dy-

plomacyjnej literaturze międzynarodowej (*Le probleme ukrainien* w „Esprit Internationale”, styczeń 1939, s. 68–86) istotne oblicze sprawy ukraińskiej.

Stwierdziwszy wielokrotnie brak jasnych przeciwieństw między Rosją-Rosjanami a Ukrainą-Ukraińcami, uzasadnia konieczność współpracy nie tylko obu narodów, ale przede wszystkim obu państw. Trzy tysiące, dosłownie trzy tysiące, kilometrów wspólnej, niczym nieosłoniętej granicy dwu tych państw wprost wyklucza wzajemną obronę na wypadek konfliktów wojennych. Ale oba państwa

Nazwa ta była naładowana dynamitem buntu przeciwko Polsce. Ta nazwa przekreślała całą polską-ruską przeszłość

siebie nawzajem potrzebują: Rosja ze względu na surowce, Ukraina przeludniona ze względu na możliwości migracyjne. Z tego niewątpliwie dobrze przemyślanego punktu widzenia ostrzega Panejko wszystkich prometeistów, nie wyłączając niemieckich, i przypomina im losy Mongołów, Karola XII, wielkiej armii Napoleona, nie licząc już Polaków z Piłsudskim z roku 1920. Prometeistom niemieckim służy w końcu osobliwą radą: zatrzymajcie się

¹⁰ Iwan Omelianowicz-Pawlenko (1881–1962) – ukraiński działacz polityczny, generał-chorąży armii Ukraińskiej Republiki Ludowej. Po zawarciu sojuszu między Polską a Ukraińską Republiką Ludową dowódca Samodzielnej Dywizji Kawalerii Armii URL (przyp. red.).

¹¹ 9 lutego 1918 r. państwa centralne zawarły z Ukraińską Republiką Ludową traktat pokojowy. Traktat ten oznaczał uznanie państwa ukraińskiego przez państwa centralne (przyp. red.).

na spełnieniu wielkiego zadania stworzenia wolnego państwa ukraińskiego z Galicji wschodniej i z Wołynia!

Ale nie wazcie się zaryzykować marszu ku Dnieprowi – woła pod adresem Hitlera – a już zgoła wiązać się w tym marszu z Polakami, owymi dziedzicznymi wrogami Ukrainy.

I oto cały sens wysiłków Panejki: uświadomienie Europie, że jeśli w poczuciu świadomości narodowej między Rosjanami a Ukraińcami istnieją jeszcze pewne wahania, to w stosunku między Polakami a Ukraińcami przerwa dokonana się zupełna. Nie dość tego:

Stwierdzam bez przesady – pisze Panejko – że jeśli ubolewania godne w samym sobie pojęcie: wróg dziedziczny można gdzie zastosować, to wyłącznie chyba do Polaków, uważanych przez całą ludność ukraińską jako takiego dziedzicznego jej wroga.

Wniosek ostateczny – „zredukować Polskę do linii Curzona”.

Panejko – Bocheński¹²

Daleki jestem od tego, bym brał poglądy p. Panejki jako obraz rzeczywistości wzajemnych stosunków między Polakami a Rusinami, ale nie wątpię, że ci, którzy przekreślają po raz nie wiem już który ideologię i nomenklaturę ugody hadziackiej, wytrwale i zawzięcie pracują nad wznieceniem takiej nieprzejednanej nienawiści między Polakami a Rusinami.

Jest osobliwe, że ponury obraz stosunków polsko-ruskich, nakreślony przez p. Panejkę, stanowczego przeciwnika wszelkiego prometeizmu, a w szczególności prometeizmu ze strony polskiej – wszak pisze dosłownie, że „nienawiść ukraińska do Polaków przez inwazję Piłsudskiego na Ukrainę jeszcze spotęgowaną została” – przedziwną i niepojętą okazuje zgodność z obrazem wyłonionym w mglistych mózgach współczesnych polskich Prometeuszów.

W najnowszej książce Bocheńskiego, Łosia¹³ i Bączkowskiego (*Problem polsko-ukraiński*, Warszawa 1938), owego triumwiratu „Biuletynu Polsko-Ukraińskiego”, roi się od przerażających widm nienawiści, którą zieją polscy „Ukraińcy” do narodu i państwa polskiego.

Szczególną jednak własnością owej trójki prometejskiej jest geneza owej „ukraińskiej” ku Polakom i Polsce nienawiści.

Sam fakt – pisze Bocheński – nieuznawania nazwy „ukraiński” stawia każdego Ukraińca wobec alternatywy: albo będziesz Polakiem, albo musisz Polskę nienawidzić!

Oczywisty nonsens, ale nawet największy nonsens miewa w sobie bodaj ziarno prawdy. Prawdą też jest, że polscy „Ukraińcy” nienawidzą pojęcia Rusi, tak silnie związanego z dziejowymi polsko-ruskimi stosunkami, które w ugodzie hadziackiej doczekały się tak wspaniałego dokumentu i wzoru polsko-litewsko-ru-

¹² Aleksander Bocheński (1904–2001) – polski eseista, publicysta, tłumacz i polityk. W latach międzywojennych związany razem z bratem Adolfem z magazynem „Bunt Młodych” (później „Polityka”), gdzie redaktorem naczelnym był Jerzy Giedroyc. W swojej publicystyce podejmował m.in. tematykę mniejszości ukraińskiej w II RP (przyp. red.).

¹³ Jan Stanisław Łoś (1890–1974) – historyk, dyplomata oraz konserwatywny publicysta związany z międzywojennym środowiskiem redaktora Jerzego Giedroycia skupionym wokół periodyku „Bunt Młodych” (później „Polityka”), specjalizujący się w tematyce mniejszości ukraińskiej w II RP (przyp. red.).

skiej przyjaźni na zasadach „równi z równymi”.

Terminologia „ukraińska” wymazuje wszelkie tego typu wspomnienia, staje się barykadą dla wszelkiej polsko-ruskiej współpracy, jest tym symbolem neofity,

zarzekającego się ze wstrętem dawnej swej nazwy, wiary i woli.

Drukowano w dwutygodniku „Ziemia i Naród”, Lwów 1939, nr 5. Tu rozprawkę tę częściowo skrócono, częściowo znacznie rozszerzono.

Czy Europa jest gotowa na samodzielną obronę przed Rosją?



ROBERT KURASZKIEWICZ

Stały współpracownik Nowej Konfederacji. W latach 80-tych działacz opozycji antykomunistycznej w Ruchu Młodzieży Niezależnej i Ruchu Młodej Polski, jeden z założycieli Zjednoczenia Chrześcijańsko Narodowego, publicysta, przedsiębiorca i menadżer

Europa musi przygotować się na samodzielne prowadzenie nuklearnego odstraszenia w obliczu potencjalnego wycofania się USA

W ostatnich tygodniach pojawiło się wiele wypowiedzi polityków amerykańskich, europejskich, ukraińskich oraz rosyjskich dotyczących konieczności podjęcia rozmów pokojowych. W związku z tym nasuwa się pytanie, czy to już ten moment, w którym rola generałów się kończy, a zaczyna rola dyplomatów. Moim zdaniem zdecydowanie nie jest to jeszcze ten moment. Jest to raczej reakcja na narastające zmęczenie opinii publicznej, która oczekuje jakiegoś planu zakończenia wojny. Nic nie wskazuje jednak na to, że negocjacje rozpoczną się w ciągu najbliższych kilku miesięcy, a już na pewno nie przed rozstrzygnięciem wyborów prezydenckich w USA. Zarówno Rosja, jak i Ukraina dysponują potencjałem oraz wsparciem, które pozwala im kontynuować działania wojenne co najmniej do przyszłego roku. Na polu walki również nie zaszły strategiczne zmiany.

Obecnie najbardziej krytycznym elementem prowadzenia wojny przez Kijów jest sfinalizowanie pakietu finansowego wsparcia w postaci kredytu 50 mld dolarów, zabezpieczonego zajętych aktywami

rosyjskimi. Jak donosi portal Politico, mimo powtarzanych deklaracji, rozmowy utknęły w martwym punkcie. Wynika to z oczekiwania, że Kamala Harris zwycięży w listopadowych wyborach prezydenckich, co sprawia, że nie ma pośpiechu w podejmowaniu decyzji w obawie przed ewentualną prezydenturą Trumpa.

Z punktu widzenia finansów Rosji kluczowe znaczenie ma cena baryłki ropy naftowej. Ta teza jest powtarzana od wielu miesięcy na łamach Nowej Konfederacji. Dochody z eksportu paliw kopalnych pozwalają finansować wojnę, a najważniejszym źródłem tych dochodów jest właśnie ropa naftowa. Porozumienie między Moskwą a Rijadem pozwalało utrzymać cenę ropy na poziomie 80 dolarów za baryłkę. W ostatnich tygodniach cena spadła jednak bliżej 70 dolarów, a przez kilka dni była najniższa od września 2021 roku. Wsparcie dla wysokich cen ropy wynika głównie z oceny ryzyka geopolitycznego. Konflikt na Bliskim Wschodzie, ataki Huti z Jemenu oraz ryzyko konsolidacji władzy Maduro w Wenezueli wpłynęły na to, że cena nie spadła jeszcze bardziej. Spadek

cen prognozowany jest również ze względu na słaby wzrost gospodarczy w Chinach. Już jesienią 2023 roku państwa OPEC+ uzgodniły cięcia dostaw o ponad 2 miliony baryłek dziennie, co pozwoliło utrzymać cenę ropy pomiędzy 80 a 90 dolarów za baryłkę. Od września bieżącego roku kraje te miały przywrócić te dostawy na rynek, ale z powodu spadku cen decyzja ta została wstrzymana. Mimo to nie doprowadziło to do powrotu ceny do 80 dolarów.

Wygląda na to, że nastąpił przełom i ceny będą nadal spadać. Rijad staje przed piekielnym dylematem: utrzymać wysoką cenę czy udział w rynku. Cięcia produkcji w krajach OPEC+ zostały zrównoważone przez wzrost produkcji w innych państwach, na czele z USA i Kanadą. Można założyć, że o ile nie wystąpi dodatkowe ryzyko geopolityczne, ceny ropy będą wykazywać lekką tendencję spadkową. W trakcie kampanii wyborczej Donald Trump zapowiedział, że jeśli zostanie prezydentem, sprowadzi cenę baryłki ropy do poziomu 40 dolarów, co odbierze Rosji zdolność do dalszego prowadzenia wojny. Choć nie ma pewności, czy zostanie prezydentem, w charakterystyczny dla siebie chaotyczny sposób poprawnie wskazał kluczowy aspekt tej wojny. Gdyby cena baryłki rzeczywiście spadła do 40 dolarów, Rosja w ciągu kilku miesięcy straciłaby zdolność do prowadzenia wielkoskalowych działań wojennych. Aby to osiągnąć, potrzebne jest polityczne zbliżenie między Stanami Zjednoczonymi a Arabią Saudyjską, co wydaje się mało prawdopodobne, jeśli władzę w USA będą sprawować Demokraci.

Tak czy inaczej trudno spodziewać się aż tak optymistycznego scenariusza. Realistycznie można spodziewać się spadku cen ropy do poziomu 60 dolarów w 2025 roku, co byłoby mocnym ciosem dla fi-

nansów Rosji. Cena ropy jest bowiem pulsem tej wojny – bez wysokich dochodów z ropy natychmiast widać będzie osłabienie Rosji na froncie. 2,5 roku od początku wojny zwiększenie dostaw broni z amerykańskich zasobów, umożliwienie atakowania dalekich celów w Rosji oraz obniżenie ceny ropy do 40 dolarów za baryłkę mogłoby doprowadzić do szybkiej destrukcji rosyjskich zdolności militarnych. Taka agresywna, „reganowska” polityka prawdopodobnie zakończyłaby się sukcesem, choć nie wiadomo, czy rzeczywiście zostanie wdrożona.

Cena ropy jest także przykładem sytuacji zero-jedynkowej – każdy spadek o 1 dolar wzmacnia gospodarkę europejską, a osłabia gospodarkę rosyjską. Warto to przypominać zwolennikom antyrosyjskiej prawicy, która jednocześnie broni paliw kopalnych. Długoterminowo nie ma lepszej polityki antyrosyjskiej niż globalny spadek popytu na paliwa kopalne.

Globalne zmiany geopolityczne sprawiają, że nawet po zakończeniu wojny rosyjsko-ukraińskiej nie ma mowy o powrocie do status quo ante. Z polskiej perspektywy, jako państwa frontowego, najważniejsze jest zrozumienie przyszłej polityki amerykańskiej wobec Polski i Europy. Po zakończeniu aktywnej fazy działań wojennych w Ukrainie rola Stanów Zjednoczonych w Europie z pewnością ulegnie zmianie. Obecnie toczy się strategiczna dyskusja dotycząca przyszłej obronności Europy, w której bierze się pod uwagę możliwość zmniejszenia amerykańskiej obecności wojsk lądowych na kontynencie. Najbardziej radykalny wariant zakłada praktyczne wycofanie się USA ze struktur NATO, co analizują w artykule z 6 września dla „Foreign Affairs” amerykański historyk i profesor Studiów Strategicznych na University of St Andrews, Phillip P. O’Brien

oraz emerytowany marszałek RAF i dyrektor generalny brytyjskiej Akademii Obrony, Edward Stringer. Choć taki scenariusz jest skrajnie mało prawdopodobny, warto go rozważyć. Autorzy artykułu podkreślają, że NATO, nawet bez udziału USA, nadal może pełnić kluczową rolę w polityce obronnej Europy, zwłaszcza w zakresie koordynacji działań między państwami, które nie są członkami UE.

Przed Europą stoi ogromne wyzwanie związane z budową interoperacyjności i pełnej logistyki, obejmującej również monitorowanie przestrzeni powietrznej i kosmicznej. Z polskiego punktu widzenia kluczowe jest potwierdzenie tezy, że największym zagrożeniem dla Europy pozostaje Rosja. Europa powinna przede wszystkim przygotować się na ewentualność wojny lądowej z tym krajem. Biorąc pod uwagę, że obecnie polityczne struktury NATO kierowane są przez holenderskiego polityka Marka Rutte, autorzy sugerują, że w przyszłości, uwzględniając polski

program zbrojeń i strategiczne położenie na wschodniej flance, to właśnie polski generał powinien zastąpić amerykańskiego dowódcę na stanowisku szefa struktur militarnych Sojuszu w Europie.

Europa musi także opracować nową politykę odstraszania nuklearnego, zakładając zwiększenie udziału państw europejskich w tej strategii. Autorzy wskazują, że zarówno kraje posiadające broń jądrową, jak i te, które jej nie mają, powinny wspólnie rozwijać swój potencjał odstraszania. Mówiąc wprost, Europa powinna być zdolna do samodzielnego prowadzenia polityki odstraszania nuklearnego. Z tego powodu Wielka Brytania i Francja, dysponujące arsenałami nuklearnymi, powinny rozbudować swoje zasoby w porozumieniu z innymi krajami europejskimi i doprowadzić do współdzielenia odpowiedzialności za użycie tej broni z państwami bezpośrednio zagrożonymi agresją rosyjską.

Trzy scenariusze zakończenia wojny na Ukrainie. Eskalacja, trwanie i przewrót prochiński



PIOTR MICHAŁ KOSMĘDA

Radca prawny, absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego, doktor nauk prawnych (Uniwersytet Śląski w Katowicach), zarządzający funduszami nieruchomości, CCIM (Certified Commercial Investment Member), przedsiębiorca. Onegdaj reprezentant Polski U-16 w piłce nożnej. Dziś uprawia triathlon i biegi górskie.

Od użycia broni jądrowej przeciw Polsce do wasalizacji Moskwy przez Pekin. Scenariusze są różne – na każdy z nich Warszawa musi się przygotować

W niedawnym artykule w „Nowej Konfederacji” przedstawiłem argumenty przemawiające za rychłym załamaniem się systemu władzy w Rosji, sugerując, że przesilenie to może skutkować prozachodnim zwrotem Moskali. Kilka dni temu, wskazując ten sam przedział czasowy (połowa roku 2025-wiosna 2026) podobne stanowisko zajął Kyryło Budanow. Należy zatem, jak napisałem, rozważać różne scenariusze, aby w chwili, gdy wydarzenia potoczą się szybko, a wojna będzie się kończyć, mieć w Warszawie gotowy plan działań.

Wydaje się, że można wskazać co najmniej trzy inne scenariusze rosyjskiego przesilenia i zakończenia wojny na Ukrainie, które nazwałem: eskalacją, trwaniem i przewrotem prochińskim. W każdym z nich do wzrostu napięcia prowadzić będzie z jednej strony zwiększanie sankcji, a z drugiej przekraczanie kolejnych czerwonych linii w warstwie militarnej. Ten trend jest utrzymywany, o czym donosi „Wall Street Journal” (WSJ) pisząc o ko-

lejnych obostrzeniach dla Rosjan i ich przedsiębiorstw, co wprowadzi dalsze zakłócenia ich łańcuchów dostaw. Jak zauważa „Le Monde”, sankcje te rozszerzane są też na Iran, który coraz bardziej wchodzi w rolę sojusznika Rosji, dostarczając rakiety balistyczne Moskwie. Skutkiem tego jest anulowanie umów o wzajemnych usługach lotniczych krajów UE z Iranem. Rośnie zatem spirala eskalacyjna, a jak wskazuje Marek Budzisz, „wojna staje się coraz bardziej wojną sojuszniczą”. Trwa naciąganie sprężyny, które dotyczy obecnie zgody Zachodu na użycie przez Ukrainę rakiet na terytorium Rosji. „Politico” nazywa to przekroczeniem Rubikonu, cytując Putina, który ostrzegł, że „będzie oznaczać, że kraje NATO, Stany Zjednoczone i kraje europejskie walczą z Rosją”. W innym tekście „Politico” zauważa silny opór kanclerza Scholza wobec takiego rozwiązania, na które naciska Boris Pistorius. Nawet w obrębie rządu jednego państwa nie ma zatem jednomyślności.

Eskalacja

Rozważać można cztery warianty eskalacji: po pierwsze – użycie taktycznej broni jądrowej na terenie Ukrainy, po wtóre – konwencjonalne uderzenie (w tym hybrydowe lub raketowe) na Łotwę lub Estonię lub Finlandię, po trzecie – użycie broni jądrowej przeciw NATO, np. w Polsce na słabo zaludnionych terenach i po czwarte – rozmieszczenie broni jądrowej w przestrzeni kosmicznej. Eliminując mało prawdopodobny atak konwencjonalny na państwa NATO trzeba zastanowić się, czy dalsza eskalacja i użycie broni atomowej jest możliwe? W [tekście dla „Rossii w globalnej polityce”](#), Dmitrij Trenin zauważa, że Rosja musi tę wojnę wygrać, bo gra o najwyższą stawkę. Wedle niego czas pracuje na korzyść Moskali, mimo, że popełnili oni błąd zbyt naiwnej (sic!) polityki wobec Zachodu. Sugeruje, że należy obniżyć proggi użycia broni atomowej i w ten sposób zakończyć wojnę na Ukrainie. Taki atak powinien też być odpowiedzią na jakąkolwiek próbę blokowania Królewca. Twierdzi on, że kończy się czas, trwającej od Piotra I, prozachodniej „przygody” Rosji, a po wygranej wojnie Rosja powinna zwrócić się bardziej ku wschodowi, zabezpieczając rubieżę zachodnie imperium. [Analitycy ISW](#) choć przywołują słowa Williama J. Burnsa (CIA), że jesienią 2022 istniała obawa co do użycia broni jądrowej przez Rosję, to oceniają, że jedynym celem gróźb jest wzbudzenie strachu zachodnich decydentów. ISW niezmiennie twierdzi, że „jest bardzo mało prawdopodobne, aby Rosja użyła broni jądrowej na Ukrainie lub gdziekolwiek indziej”. Podobnie autorzy [Robert Lansig Institute](#) uważają, że jest „mało prawdopodobne, aby Moskwa w najbliższej przyszłości zastrzyła konflikt

z Zachodem, nawet jeśli ten podejmie decyzje na korzyść Ukrainy”, gdyż prawdopodobnie „obecna sytuacja przekroczyła próg, poza którym rosyjskie kierownictwo nie jest skłonne do dalszego zaostrzenia konfrontacji z Zachodem”. [Daniel Michaels](#) w [tekście dla WSJ](#) odnotowuje, że operacja kurska Ukrainy to pierwszy w historii przypadek, gdy „mocarstwo nuklearne stanęło w obliczu inwazji i okupacji części kraju”. Mamy do czynienia z realnym testem siły odstraszenia broni jądrowej, gdyż „opublikowana doktryna nuklearna Rosji mówi, że Moskwa może użyć broni atomowej, gdyby suwerenność lub integralność terytorialna kraju były zagrożone”.

Trwa naciąganie sprężyny, które dotyczy obecnie zgody Zachodu na użycie przez Ukrainę rakiet na terytorium Rosji. „Politico” nazywa to przekroczeniem Rubikonu

Nie oznacza to, że taka broń nie zostanie użyta, bo wedle Michaelsa „niejednoznaczność i niepewność są nieodłączną częścią gier nuklearnych”. Podobnie [twierdzi Marek Budzisz](#) w wywiadzie dla „Układu Sił”. [Thomas Grove](#) w artykule w [WSJ](#) pisze, że „inwazja na Kursk była kolejnym [po buncie Prigożyna] ciosem w aureę niezwyciężoności Putina”. Cytuje Andrieja Kolesnikowa, który uważa, że Putin „w zeszłym roku wykazał słabość. W tym roku jest to słabość innego rodzaju”. [Zgadza się z Budziszem](#), który w „Historii

Realnej” zauważa, że opieranie naszej strategii na przekonaniu, że Putin jest słaby lub blefuje, jest jednak błędem. Zamiast użycia broni jądrowej Rosja może ją rozmieścić w kosmosie. Taki wariant rozważał wiosną 2024 w „Foreign Affairs” Aaron Bateman. Autor twierdzi, że „celem takiej broni może być zniszczenie systemów satelitarnych wykorzystywanych do komunikacji i rozpoznania, który Moskwę mogłaby postrzegać jej rozmieszczenie jako nowe źródło nacisku, miecz Damoklesa”.

Jaki byłby skutek użycia broni atomowej? Prawdopodobną konsekwencją byłby ostracyzm wobec Rosji i ze strony Chin, ale też krajów Globalnego Południa, na których Moskwie najbardziej zależy. Europa mogłaby zareagować panicznie, zwłaszcza bezbronni Niemcy pod słabym i niezdecydowanym kanclerzem Scholzem, który mógłby w strachu zaprzestać pomocy Ukrainie.

Trwanie

W scenariuszu tym Rosja słabnie. Nie wygrywa wojny ani się nie rozpada. Dochodzi do zawieszenia broni na Ukrainie. Zajęta część obwodu kurskiego jest walutą przy stole negocjacyjnym. Zawieszenie broni faktycznie degraduje Rosję, ale Putin i jego reżim utrzymują się. Potrafią bowiem wytłumaczyć narodowi, że „Rosja победиła”. Amerykanie i Chińczycy uznają, że mogą taki status Rosji akceptować. Nie dochodzi do reform, lecz mamy sytuację podobną do stanu wojennego w Polsce. Przy retoryce permanentnego zagrożenia i ręcznym sterowaniu wciąż wojenną gospodarką, Rosja stacza się po równi pochyłej. W braudelowskim długim trwaniu zachowuje pozory, ale świat widzi jej upadek. Putin umiera naturalnie lub

wskutek chorób traci sterowność. Jest to wariant podobny do epoki poststalinowskiej. Za takim scenariuszem trwałości reżimu kremlońskiego opowiada się Julian G. Wallner w „Foreign Affairs”, który uważa, że „najbardziej rzucającą się w oczy cechą obecnej fazy rządów Putina [jest] odporność reżimu i jego udowodniona zdolność do dostosowywania się”. Kreml, korzystając z teorii krążenia elit Wilfredo Pareto, dokooptował np. milbloggerów do struktur państwowych, i choć zdekapitował Grupę Wagnera, to jej członków inkorporował do innych jednostek. Wallner dostrzega jednak ryzyka, pisząc, że „ge-
rontokraci na Kremlu mogą stracić kontakt

Trenin sugeruje, że należy obniżyć progi użycia broni atomowej i w ten sposób zakończyć wojnę na Ukrainie

z nastrojami wśród elit, a rosnące trudności gospodarcze i zmęczenie wojną wśród społeczeństwa mogą ostatecznie doprowadzić do nieporządku”. Ponowne włączenie weteranów w tkankę społeczeństwa będzie stanowić potencjalne zarzewie buntu społecznego, bo „spuścizna Prigożina i Surowikina może z czasem skryształizować urazy i stać się punktami zbornymi dla nowego pokolenia rosyjskich oficerów [i wywołać] niezadowolone elit oraz kolejny kryzys dla Kremla”. Podobnie wypowiada się w „Foreign Affairs” Peter Schroeder, pisząc, że „istnieje tylko jedna realna opcja zakończenia wojny na Ukrainie na warunkach akceptowalnych dla

Zachodu i Kijowa: przeczekanie Putina”. Należy zatem utrzymać zaopatrzenie Ukrainy, sankcje, minimalizować walki i czekać na śmierć Putina lub utratę przez niego władzy. Putin nie wycofa się z wojny, gdyż „prawdopodobnie uważa, że koszty bezczynności byłyby wyższe – powstanie Ukrainy popieranej przez Zachód” i „kolorowa rewolucja” w Rosji.

**Jaki byłby skutek użycia
broni atomowej?
Prawdopodobną
konsekwencją byłby
ostracyzm wobec Rosji i ze
strony Chin, ale też krajów
Globalnego Południa, na
których Moskwie
najbardziej zależy**

Wojna może skończyć się zatem tylko przez porażkę Rosji lub odejście Putina. Ponieważ pierwsze jest skrajnie mało prawdopodobne, należy czekać. Po wycofaniu się Ukraińców spod Kurska oraz powstrzymaniu Rosjan w Doniecku należałoby wynegocjować zawieszenie broni, dozbroić Ukrainę i wrócić do rozmów z nowym carem na Kremlu. Przekonanie o braku możliwości porozumienia się z Putinem dzieli również Ołeksandr Łytwynenko, ambasador Ukrainy w Paryżu, który w wywiadzie dla „Le Monde” mówi, że „Rosja nie jest gotowa na merytoryczne negocjacje”, bo z Putinem można rozmawiać tylko z pozycji siły. Brak perspektyw na pokój podziela Michael Kimmage

w „WSJ”, zauważając, że działania Bidena stanowią kompromis pomiędzy nadmiernym ryzykiem, a wyczerpywaniem Rosji. Przede wszystkim jednak nie wiążą się one z „wygórowanymi kosztami i doprowadziły do niezwyklej współpracy z sojusznikami”, a „ponad 80% Ukrainy pozostaje suwerenne – [to] zdumiewające osiągnięcie w starciu z ze znacznie potężniejszym przeciwnikiem”. Autor twierdzi, że niezależnie od wyniku wyborów w USA pomoc zostanie utrzymana lub zwiększona, co pozwoli na dalsze powstrzymywanie Rosji.

Bardziej krytyczny stosunek do obecnej administracji mają Lara Seligman i Alan Cullison, którzy również w „WSJ” piszą, że biorąc pod uwagę ograniczone narzędzia nic szczególnego nie wydarzy się do czasu objęcia fotelu w Białym Domu przez nowego prezydenta. Cytując Rachel Rizzo z Atlantic Council, stwierdzają, że strategia Bidena „brzmi jak przepis na kolejną niekończącą się wojnę”. Po wyborach w USA Ukraina może stanąć wobec „nowej i potencjalnie nieznannej dynamiki w Waszyngtonie”.

Przewrót prochiński

Wydaje się, że najmniej komentowanym i rozważanym, a wcale nie najmniej prawdopodobnym jest scenariusz pośredniej ingerencji Chin. Może on mieć kilka wariantów. W pierwszym Chiny pomagają wprost Rosji poprzez dostawy broni i eskalację konfliktu. Jest to mało prawdopodobne, gdyż wiąże się z dużym ryzykiem dla Pekinu, a potencjalne zyski są niepewne. Drugi polega na odsunięciu Putina wskutek prochińskiego (a nie prozachodniego) przewrotu. Do władzy dochodzi ekipa stawiająca na bliskie relacje z Państwem Środka, co prowadzi do degradacji

Rosji, jej sinizacji i praktycznej wasalizacji, za cenę utrzymania przywilejów kasty rządzącej Moskwą. Jest to wariant „mongolski” dobrze już w Rosji przeciwiczony. Wreszcie trzecia możliwość, to zaangażowanie się Chin w doprowadzenie do pokoju na Ukrainie, czyli wejście przez Pekin w rolę akuszerza nowego porządku. Byłoby to możliwe w sytuacji przewidywanego słabnięcia Rosji, a jednocześnie braku zdecydowania nowej administracji amerykańskiej. Zniecierpliwiony, zmęczony wojną Kijów mógłby przyjąć chińską pomocną dłoń, zakończyć konflikt tracąc część terytorium w zamian za chińskie inwestycje i zaangażowanie w odbudowę. Dla Pekinu byłoby to rozwiązanie *win-win* wobec Rosji i Ukrainy, ale dalece eskalacyjne wobec Waszyngtonu. Nie należy go wykluczać w okresie przejmowania władzy przez Kamalę Harris, która, przynajmniej dziś, nie robi wrażenia przygotowanej do skomplikowanej gry, jaką zmuszona byłaby prowadzić na międzynarodowej szachownicy.

Polska szefem NATO

W kierunku którego wariantu powinna starać się sterować Warszawa, skoro Rosja słabnie, a USA wycofują się z Europy? Jak twierdzi Stanisław Kuwaldin w „Rossii w globalnej polityce”, tak długo, jak trwa wojna Rosji z Zachodem, Polska rośnie w siłę. Wojna nie będzie jednak trwała wiecznie. Wydaje się, że Amerykanie, nawet po wojnie nie będą chcieli pozwolić na powrót do degradującego Polskę „business as usual” i paktu Moskwa-Berlin, na który wciąż zdaje się grać Scholz. Pytanie zatem czy po wojnie będziemy nadal obszarem buforowym, jak chciałby cytowany Trenin, czy uzyskamy jakiś zakres podmiotowości? Rolę Polski rozważają

w artykule dla „Foreign Affairs” Philips P. O’Brien i Edward Stringer, zadając pytanie: „kto przewodzi Europie” i jakie będzie „postamerykańskie NATO”? Przyzwyczajona do amerykańskiej opieki Europa nie ma przywództwa. Niemcy, pretendujące do tego miana, są niezdecydowane, popełniają dużo błędów i nie są dobrze postrzegane na flance wschodniej. Francja ma wielkie ambicje i jest bardziej koherentna, ale położona daleko od Rosji – nie jest atrakcyjna dla Europy Środkowej. Wielka Brytania zarówno politycznie, jak i militarnie mogłaby taką rolę odgrywać, ale po Brexicie sama przekreśliła tę szansę. Wskazują zatem na Polskę,

Peter Schroeder: „Istnieje tylko jedna realna opcja zakończenia wojny na Ukrainie na warunkach akceptowalnych dla Zachodu i Kijowa: przeczekanie Putina”

która rozbudowuje swoje siły, ma stabilny, wysoki wzrost gospodarczy, odpowiedni potencjał ludnościowy oraz przede wszystkim położenie na pierwszej linii kontaktu z Rosją. Proponują, by kolejnym szefem NATO był Polak. Jest to rozwiązanie, które na łamach „NK” było omawiane: polega na budowie sił europejskich w oparciu o polskiego rekruta i dowodzenie oraz niemiecko-francuskie wyposażenie. Wzmacniałoby to naszą pozycję w opisanym wariantcie eskalacyjnym, który jest niebezpieczny militarnie, lecz długoter-

minowo obsługuje polski interes, gdyż wypycha politycznie Rosję z Europy, oczywiście pod warunkiem braku zdecydowanego zwycięstwa Moskwy. Wariant drugi zawiera w sobie ryzyko porozumienia się Rosji z Zachodem ponad głowami Polaków. W dłuższej perspektywie konfrontuje Polskę z decyzją słabnącej Moskwy: wasalnej relacji z Pekinem lub „odwróconym Kissingerem”. W wariacie trzecim Polska ma możliwość uzyskania statusu podobnego do Australii lub Japonii. Wymaga to twardych negocjacji z USA, aby nie oddać naszych interesów

za darmo (jak to zrobiła niedawno Australia). Alternatywą jest ochłodzenie relacji z Zachodem, porozumienie z Pekinem i transfer technologii. Wydaje się to być dziś mrzonką, ale wobec słabnącej dramatycznie UE, prawdopodobnego upadku pozycji Niemiec i Francji, jest to scenariusz, który powinniśmy brać pod uwagę. Choć temat poważny, to ironizując byłoby to spełnieniem się w rzeczywistości żartu z lat PRL, w którym zahibernowani prezydenci ZSRR i USA, po wybudzeniu czytają w gazecie: „Na granicy polsko-chińskiej spokój”.

Rosyjska gospodarka śmierci nie starczy na długo



PIOTR MICHAŁ KOSMĘDA

Radca prawny, absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego, doktor nauk prawnych (Uniwersytet Śląski w Katowicach), zarządzający funduszami nieruchomości, CCIM (Certified Commercial Investment Member), przedsiębiorca. Onegdaj reprezentant Polski U-16 w piłce nożnej. Dziś uprawia triathlon i biegi górskie.

Wbrew tezm Bartosiaka, w Rosji nadchodzi tąpnięcie. Początku można spodziewać się już w przyszłym roku

Od początku wojny rosyjsko-ukraińskiej cyklicznie pojawiają się przepowiednie upadku Rosji, jej podziału, rozdarcia po szwach narodowościowych. Całkowite załamanie się systemu politycznego Moskali jest mało prawdopodobne. Nie dlatego, że Rosja jest tak odporna, ale dlatego, że dla światowych potęg taki rozpad byłby zbyt niebezpieczny. Nie dopuszczą one ryzyka przejęcia przez nieobliczalne siły kontroli nad częścią arsenału jądrowego. Moim zdaniem Rosję czeka jednak silne tąpnięcie, którego początku należy spodziewać się latem 2025 roku, przy czym okres jego trwania może przedłużyć się na rok 2026. Kryzys władzy, zmęczenie wojną, walka frakcji mogą poskutkować osłabieniem Moskwy.

Gospodarka śmierci

Wbrew obiegowym opiniom, rosyjska gospodarka kuleje, wyczerpuje krótkoterminowe impulsy wzrostowe i jest na równi pochyłej. Stopy procentowe zostały podniesione w Rosji do 18% w lipcu, a zgodnie z komunikatem Centralnego

Banku Rosji (CBR) „inflacja przyspieszyła i jest znacznie wyższa niż prognoza z kwietnia”. Niewykluczona jest kolejna podwyżka podczas posiedzenia 13 września, gdyż wedle Aleksieja Zobotkina, członka rady dyrektorów CBR, wzrost gospodarczy i zaangażowanie kredytowe spowalniają, wskazując jednocześnie, że wysokie stopy procentowe w Rosji utrzymają się co najmniej trzy lata, a w scenariuszu negatywnym inflacja w 2025 roku wyniesie 13-15% (obecnie 9%).

Jak twierdzi Anastasia Stognei w tekście dla Financial Times „przegrzana” gospodarka Rosji gwałtownie zwolni w przyszłym roku”, gdyż szybki wzrost, był napędzany głównie przez silny popyt krajowy, a ostry niedobór siły roboczej i negatywne skutki zachodnich sankcji ograniczają produkcję. CBR prognozuje wzrost PKB na poziomie od 0,5 do 2% latami 2025-2026. M. Jégo i M. Seigneur w artykule dla Le Monde zauważają, że wzrost gospodarczy napędza w Rosji „gospodarka śmierci” (dosł. „économie de la mort”), gdyż to ogromne sumy pieniędzy wydane na sektor wojskowy, w tym wy-

płaty dla żołnierzy i odszkodowania dla rodzin zmarłych, tworzą finansową „bańkę”, zwłaszcza, że w lipcu podwyższono miesięczną pensję dla żołnierzy kontraktowych ze 195 000 rubli (1910 euro) do 400 000 rubli (3900 euro). To 10 razy więcej niż średnia pensja w Rosji. Olbrzymie wydatki budżetowe stymulujące popyt wewnętrzny, przy ubytku siły roboczej oraz coraz dotkliwiej odczuwalnych sankcjach spowodowały pojawienie się modelu gospodarki, który nie jest do utrzymania w dłuższym okresie. Z jednej strony koszt omijania sankcji obniża marżowość produkcji, z drugiej strony presja inflacyjna dodatkowo ogranicza zyski przedsiębiorstw. Jak twierdzi A. Prokopenko, była doradczyni w CBR (zrezygnowała po 24.02.2022) rosyjska gospodarka działa tak długo, jak utrzymują się wysokie ceny surowców, a obecny, niewydolny model będzie możliwy do utrzymania jeszcze w roku 2025. Wydatki publiczne na zbrojenia i programy społeczne nie mogą zostać zatrzymane od razu, nawet w przypadku zawieszenia broni czy pokoju. To oznacza, że w dłuższej perspektywie brak bodźców pro wzrostowych, a czynniki hamujące nie znikną. W związku z powyższym, z punktu widzenia Kremla, kontynuacja wojny, militaryzacja gospodarki i społeczeństwa wydaje się rozsądniejszą od pokoju alternatywą. Dla władzy. Nie dla państwa i obywateli.

Zaciskanie się pętli

Nieprzygotowanie polskich elit do konfrontacji z Rosją może budzić obawy. Wydaje się jednak, że nie służą tym przygotowaniom powtarzane uparcie tezy Jacka Bartosiaka, który nieustannie straszy zagrożeniem ze strony Rosji, głosi nieskuteczność sankcji i parafrazując Putina

twierdzi, że „prawdziwą walutą jest człowiek, zboże, czyli rolnictwo, żywność i surowce i zdolność połączenia tych trzech elementów, a nie fiducyjny zapis w księgach” (w tym kontekście ciekawa jest polemika Adama Suraja). Wspomniana Aleksandra Prokopenko w wywiadzie dla „Der Spiegel” zauważa, że „sankcje z pewnością wpływają na rosyjską gospodarkę”,

**W scenariuszu negatywnym
inflacja w 2025 roku
wyniesie 13-15%
(obecnie 9%)**

a wiele jej obszarów, jak np. moskiewskie centrum finansowe, zostało zniszczonych. W podobnym tonie wypowiada się ośmioro ministrów finansów krajów UE w tekście w „The Guardian”, mówiąc, że „Putin i jego autorytarny reżim rozpowszechniają fałszywą narrację, że rosyjska gospodarka jest silna, a jej machina wojenna nie ucierpiała z powodu zachodnich sankcji”. Bodźce fiskalne nie są nieskończonym źródłem wzrostu, a rosnąca kontrola rynku, wywłaszczenia i militaryzacja gospodarki, przy jednoczesnym krótkoterminowym przegrzaniu i wobec braku dostępu do technologii musi wywołać poczucie *deja vu*. Tak – jest to po prostu model sowieckiego komunizmu. ZSRR potrzebowało kilkudziesięciu lat, by upaść z powodu niewydolnej gospodarki. W przypadku Rosji, słabszej i mniejszej, ten proces następuje dużo szybciej. Kluczowe byłoby powolne, ale postępujące domykanie sankcji oraz, jak wskazują ministrowie, obniżenie ceny baryłki ropy poniżej 60 USD. Identycznie twierdzą autorzy artykułu

w Centre for Economic Policy Research, pytając: „Czy sankcje zawiodły? Nie. Osiągnęły to, co mogły, biorąc pod uwagę ich ograniczony charakter, makroekonomiczne środowisko sprzyjające Rosji przez dłuższy okres”. Jednocześnie zauważają, że kolejnym „dokręceniem śruby” była decyzja UE z 21.05.2024 o wykorzystaniu odsetek (ok. 3 mld USD) od zamrożonych rosyjskich aktywów (o wartości ok. 300 mld USD) na pomoc Ukrainie. Podnoszą też, że „zdolność Rosji do sfinansowania wojny jest krytycznie zależna od eksportu energii, a zatem pozostaje podatna na przyszłe sankcje”. O tym, jak istotne w tym kontekście są relacje USA i Saudów, czytelników NK nie trzeba przekonywać. Pisał o tym w NK Robert Kuraszkiewicz, zauważając, że „od końca 2023 roku, w porozumieniu z Rosjanami, Rijad robi wszystko, aby utrzymać ceny na poziomie 80 dolarów za baryłkę, co pozytywnie wpływa na zdolności Moskwy do prowadzenia wojny”. W tym kontekście lansowanie tezy, że „rosyjska gospodarka się trzyma” nie znajduje uzasadnienia. Wydaje się, że rację mają autorzy publikacji w „The Guardian”, którzy uważają, że „re-sowietywizując rosyjską gospodarkę, Putin skierował ją na ścieżkę ku jej upadkowi”. Teraz nadszedł czas, aby Zachód zwiększył presję jeszcze bardziej”. Podobnie zresztą wypowiedziała się Prokopenko, twierdząc, że „należy powoli wykrwawić rosyjską gospodarkę”.

Tlen się kończy

Zdolności Rosji do dalszego prowadzenia wojny zależne są od wydolności zaplecza produkcyjnego. Rosja osiągnęła maksimum swoich możliwości i czas coraz bardziej będzie działał na jej niekorzyść. Moim zdaniem Chiny nie mają interesu

w dalszym wspieraniu Kremla w jego walce na Ukrainie, bo osłabiona Rosja w długiej perspektywie pozwala na podporządkowanie Pekinowi terenów na wschód od Leny, co dawałoby dostęp do surowców oraz wyjście na Arktykę. Argumentem za wspieraniem reżimu Putina może być chińska obawa przed „odwróconym Nixonem”. Iran czy Korea Północna w dłuższej perspektywie nie mają siły, ani nie będą widziały korzyści w pomocy Kremlowi. Dlatego, jak pisał w maju 2024 w NK Robert Kuraszkiewicz „tak ważne jest, żeby ukraiński front nie rozsypał się

**W lipcu podwyższono
miesięczną pensję dla
żołnierzy kontraktowych ze
195 000 rubli (1910 euro) do
400 000 rubli (3900 euro)**

w tym roku, bo [jeśli Ukraina] jednak przetrzyma ową nadchodzącą, najczarniejszą godzinę – to w przyszłym roku ujawnią się skutki wyczerpywania się potencjału rosyjskiego.” To samo w sposób syntetyczny ujął Marek Budzisz w wywiadzie dla „Układu Sił”, zauważając, że Rosja zaczyna mieć coraz większy problem z rekrutem. Mimo zwiększania strumienia finansowego spada liczba chętnych do zaciągnięcia się do armii, co powoduje, że obecnie ledwie udaje się uzupełniać braki. Ochotników nie wystarcza na formowanie nowych jednostek. Przywołując doniesienia „The Economist” i „Süddeutsche Zeitung” zauważa on, że zdolności produkcyjne czołgów oraz luf artyleryjskich

nie zwiększą się, a dotychczasowe zaopatrzenie wojsk rosyjskich wynikało przede wszystkim z „kanibalizacji” zapasów post-sowieckich, które polegało na „składaniu” wozów pancernych z kilku starych, częściowo niesprawnych egzemplarzy. Te zasoby się wyczerpują i wedle autorów *Sueddeutsche Zeitung* braki w sprzęcie zaczęną być odczuwalne jesienią 2024, a bardzo dotkliwe od wiosny 2025.

Cui bono: finis soviet mundi

Brak perspektywy zwycięstwa, a przede wszystkim brak alternatywnej, niż całkowite pokonanie Ukrainy, teorii zwycięstwa Rosji, powodować będzie u rosyjskich elit poszukiwanie sposobu zakończenia wojny. Ukraińska ofensywa w obwodzie kurskim, obnażająca słabość Kremla, brak adekwatnej reakcji i zapewne długotrwały i kosztowny proces odbijania utraconych terenów dodatkowo komplikuje sytuację putinowskiego reżimu. O ile nikt, kto choć trochę zna Rosję nie spodziewa się rewolucji „głębiny”, to dla elit rosyjskich brzemień putinowskiej polityki może stać się nieznośne. Dysponując mionami czy miliardami dolarów nie mogą bowiem wciąż korzystać z willi nad jeziorem Como czy jachtu w St. Tropez, a status zamrożonych aktywów jest niepewny. System zależności elit gospodarczych od Kremla Prokopenko nazywa „negatywną lojalnością”, twierdząc, że oligarchowie, choć przerażeni, nie podjęli dotychczas żadnych wysiłków, by Putina powstrzymać. Sankcje wywołały u nich niespotykaną dotąd niepewność, ale nadal demonstrują negatywną lojalność wobec Putina: niezadowoleni z sytuacji nadal pracują w Rosji, dostarczają zasoby do maszyny wojennej. Kamieniem uruchamiającym lawinę mogłyby być propozycje grupy Jermaka-

McFaul, aby wytyczyć ścieżkę zniesienia sankcji wobec osób, jeśli aktywnie zdystansują się od Kremla i zobowiążą się do przywrócenia Ukrainy w granicach międzynarodowych z 1991 roku.

Wiele zależeć będzie od wyborów w USA. Ewentualne zwycięstwo Donalda Trumpa, nieprzewidywalnego w swoich działaniach, mogłoby, jak twierdzi Kuraskiewicz, doprowadzić do ściślejszej współpracy saudyjsko-amerykańskiej, która nabrałaby wymiaru antyrosyjskiego. Spadek cen ropy poniżej 60 dol. byłby znacznie bardziej dotkliwy dla Kremla niż reszta sankcji. Musiałby też spowo-

Kluczowe byłoby powolne, ale postępujące domykanie sankcji oraz, jak wskazują ministrowie, obniżenie ceny baryłki ropy poniżej 60 USD

dować zmianę rosyjskiej pozycji negocjacyjnej. Moim zdaniem doprowadziłoby to do usunięcia Putina, z którym nikt negocjować się nie odważy. Siedząc w Białym Domu, starałbym się w ten sposób zakończyć wojnę na Ukrainie, doprowadzić do przejęcia władzy na Kremlu przez „Gorbaczowa-bis” oraz skierowania relacji na ścieżkę „odwróconego Nixona”. Rzucając Berlinowi gierkowskie „Towarzysze, pomożecie?” – mógłby amerykański prezydent liczyć na skwapliwą pomoc. Jak pisałem rok temu, Niemcy, dziś tym bardziej zduszeni gospodarczymi problemami, wspomogliby swoimi zasobami ludzkimi USA, tak, by następcą Putina był europejskim demokratą z *dossier* na Chaus-

seestraße w dzielnicy Mitte. Liczba prawdopodobnych scenariuszy ekonomicznego, a zatem i politycznego rozwoju Rosji zaczyna się zawężać i moim zdaniem przełomu należy wypatrywać latem 2025, przy czym nasilenie się zjawisk przewiduję w czwartą rocznicę wybuchu wojny. Nakładające się na siebie problemy gospodarcze, wyczerpywanie się zdolności odtworzeniowych potencjału militarnego, rosnąca frustracja elit rosyjskich może zostać wykorzystana przez USA zimą i wiosną 2025. Niewykluczona jest dworska rewolucja na Kremlu, mająca jednak cechy prorynkowe, która pozwoliłaby na ekspansję Niemiec i USA na słaby, ale potencjalnie atrakcyjny rynek rosyjski. Byłby to nie tylko symboliczny, ale ostateczny cios zadany sowieckiemu komunizmowi, który teraz, dzięki oficerowi KGB, odradza się w Rosji. Konieczność trudnych reform a la Balcerowicz spowodować może jednak w dalszej perspektywie frustrację społeczną i rzeczywisty bunt, zapewne w kolejnych 5-7 latach. Miejmy nadzieję, że u władzy w Polsce nie będzie kolejny Piłsudski, którego błędne decyzje w latach 1920-21, co doskonale

opisał Piotr Zychowicz („Pakt Piłsudski-Lenin”), uratowały światowy komunizm. Jaka Rosja wyłoni się z tych przemian ok. roku 2030, trudno dziś przewidywać.

**Chiny nie mają interesu
w dalszym wspieraniu
Kremla w jego walce na
Ukrainie, bo osłabiona
Rosja w długiej
perspektywie pozwala na
podporządkowanie
Pekinowi terenów na
wschód od Leny**

Warszawa, by przetrwać, by rosnąć w siłę, przewidywać jednak musi to, co nieprzewidywalne. Jej lider musi mieć mądrość Piastów, ducha Jagiellonów i „serce hartowne, mężne, serce dumne, silne”.

Odrzucone sprawozdanie partii Kaczyńskiego. Czy kontrowersyjna izba SN uratuje PiS?



PATRYK GORGOL

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”, prawnik z doświadczeniem managerskim w branży nieruchomości, ekspert w zakresie prawa oraz polityki międzynarodowej, ze szczególnym uwzględnieniem polskiej polityki zagranicznej i Bliskiego Wschodu. Na Twitterze@PatrykGorgol

Decyzja PKW o odrzuceniu sprawozdania finansowego PiS to dopiero początek. Prawdopodobnie konflikt zaostrzy się zgodnie z liniami partyjnych podziałów

PKW odrzuciła sprawozdanie finansowe KW Prawo i Sprawiedliwość z powodu wykorzystywania środków publicznych w kampanii wyborczej do parlamentu. Za tą precedensową decyzją stanęło pięciu z dziewięciu członków PKW, wybranych przez obecny Sejm. Warto przypomnieć, że do 2019 roku członkami PKW byli wyłącznie sędziowie SN, NSA i TK, jednak PiS postanowił przejąć kontrolę nad tym organem. W efekcie, większość w PKW stanowią osoby nominowane przez Sejm, co może rzucać cień na bezstronność decyzji o odrzuceniu sprawozdania, umieszczając ją w kontekście politycznym. Co więcej, właściwym organem do rozstrzygnięcia tej sprawy jest Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych SN, której rządzący zasadniczo nie uznają za sąd, co również rodzi wątpliwości co do jej bezstronności.

PiS jako ofiara własnych działań

Wykorzystywanie środków publicznych w kampanii wyborczej przez byłą partię rządzącą to niezaprzeczalny fakt, którego nie trzeba potwierdzać postanowieniem PKW. Każdy obserwator życia publicznego mógł to dostrzec, a od wyborów pojawiło się wiele nowych informacji w tej sprawie. Prawo i Sprawiedliwość prowadziło „kampanię na – sterydach”, a rozliczenie tego – to kwestia sprawiedliwości.

Trzeba jednak uczciwie przyznać, że nie jest to pierwszy przypadek wykorzystywania zasobów publicznych przez partię rządzącą w kampanii wyborczej. Choćby wykorzystywanie środków samorządowych przez lokalne władze to osobna patologia, której państwo jest bezradne i bierne. W tej sprawie jednak kluczowa jest skala, powszechność i poczucie bezkarności. PKW po raz pierwszy zdecydowała się

odrzuć sprawozdanie finansowe z tego powodu. Naturalnie pojawia się pytanie, dlaczego tego typu rozliczenia nie były przeprowadzane w przeszłości, a teraz stały się możliwe. To postanowienie jest wyjątkowe, ponieważ jest oczywiste, że następna władza będzie chciała w podobny sposób rozliczyć obecną.

Prawo i Sprawiedliwość uczyniło sporo, by podważyć autorytet PKW, zmieniając skład tego organu z sędziów na osoby nominowane przez Sejm, co osłabia postrzeganie PKW jako bezstronnego organu, wolnego od wpływów partyjnych. Ustawa nie zapewnia też niezależności członków PKW – brakuje na przykład zakazu wykonywania dodatkowej pracy, która mogłaby wpłynąć na ocenę ich bezstronności. W efekcie tego „zaPiS-u”, część członków PKW podejmowała pracę w instytucjach kojarzonych z rządem, a obecnie także jeden z członków pracuje dodatkowo w takim miejscu. Nie trzeba być geniuszem, by zrozumieć, że taka sytuacja stwarza ryzyko nacisku, a nawet jeśli go nie ma, to zaufanie do bezstronności takiego członka znika w momencie ujawnienia informacji o jego dodatkowym zatrudnieniu. Obecna koalicja nie podjęła do dziś żadnych kroków, by poprawić te niewłaściwe normy.

Ustalmy zasady fair play

Z punktu widzenia państwa konieczna jest nowelizacja ustawy, która stworzy PKW o bezstronności niebudzącej zastrzeżeń. Trzeba też określić zasady dotyczące kampanii parlamentarnych, europejskich i samorządowych, które jasno pokażą, jak władze powinny się zachowywać w czasie kampanii, oraz wprowadzić mechanizmy umożliwiające natychmiastową reakcję w przypadku wykorzy-

stywania środków publicznych w celach wyborczych. Kluczowa jest także transparentność, aby wychwytywać takie sytuacje na bieżąco.

Przed oddaniem PKW w ręce apolitycznych ekspertów, konieczne jest ustalenie jasnych zasad gry. W niektórych przypadkach granica między informowaniem o działaniach władzy a agitacją wyborczą może być przekroczona w sposób oczywisty, na przykład gdy pracownicy ministerstwa w godzinach pracy wspierają kampanię wyborczą. W innych przypadkach granica ta może być bardziej rozmyta,

Prawo i Sprawiedliwość uczyniło sporo, by podważyć autorytet PKW, zmieniając skład tego organu z sędziów na osoby nominowane przez Sejm

np. przy tworzeniu spotów, wydawaniu biuletynów, promocji w gazetach czy dofinansowywaniu wydarzeń organizowanych przez organizacje społeczne, na których występują politycy. Obecnie nie ma precyzyjnych przepisów – istnieje jedynie ogólny zakaz przyjmowania świadczeń niepieniężnych przez komitety (z wyjątkami określonymi w ustawie). Warto rozważyć bardziej szczegółowe uregulowanie tych kwestii na poziomie ustawy, aby zasady gry były określone przed jej rozpoczęciem, a nie po jej zakończeniu przez kolejny skład PKW.

Poza tym warto pójść krok do przodu – obok rozliczenia patologii, trzeba

stworzyć mechanizmy, które natychmiast uniemożliwią stosowanie nielegalnych metod agitacji wyborczej, tak aby nie wpływały one na wynik wyborów. Mówiąc wprost, chodzi o to, aby uczciwi nie byli pokrzywdzeni. To wymaga sprawnej PKW i sprawnego państwa.

Partyjny spór będzie trwał

Jest oczywiste, że PiS zaskarży decyzję PKW – wartą co najmniej kilkadziesiąt milionów złotych – do Sądu Najwyższego, a konkretnie – do Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych. Istnieje spór, czy IKNiSP to sąd, a także, czy sędziowie tam zasiadający mają status sędziów. Jest to ogromny problem z punktu widzenia państwa, ponieważ na tym etapie zostanie podniesiona nie tylko kwestia statusu, ale także braku zaufania do bezstronności osób wydających orzeczenie.

Taki rozwój sytuacji oznacza, że jeśli skarga zostanie uwzględniona, sprawa wróci do PKW. Teoretycznie PKW musi uznać takie orzeczenie i przyjąć sprawozdanie, jednak można sobie wyobrazić sytuację, w której członkowie PKW stwierdzą, że czekają na wyrok Sądu Najwyższego, ponieważ to, co otrzymali, nie jest dla nich wiążące. Jeśli jednak uznają to orzeczenie za wyrok – przyjmą sprawozdanie, a poprawioną uchwałę PKW otrzyma minister finansów. Znajdzie się on w sytuacji, w której będzie musiał podjąć

decyzję na podstawie uchwały PKW, której skład nie budzi wątpliwości, ale jednocześnie będzie pod presją polityczną, zwłaszcza jeśli będzie wówczas trwała kampania prezydencka.

**Jest oczywiste, że PiS
zaskarży decyzję PKW –
wartą co najmniej
kilkadziesiąt milionów
złotych – do Sądu
Najwyższego**

W każdym z tych scenariuszy (poza sytuacją, w której IKNiSP oddała skargę) nie będziemy zajmować się merytorycznym aspektem sporu, czyli tym, czy takie nadużycia powinny prowadzić do odrzucenia sprawozdania, lecz konflikt przeniesie się na pole partyjnych podziałów, być może z finałem w postaci decyzji ministra finansów.

Przed nami także kolejna rozgrywka – według doniesień medialnych PKW planuje w najbliższym czasie odrzucić roczne sprawozdanie finansowe PiS, co wyniesie spór na jeszcze wyższy poziom, gdyż grozi to całkowitą utratą subwencji do końca kadencji.

Skakanie do kielbasy na sznurku. Instytucje publiczne w grze o przetrwanie



JAREMA PIEKUTOWSKI

Członek zespołu, główny ekspert ds. społecznych

Kiedy wielkie instytucje rywalizują z małymi organizacjami o ograniczone fundusze, pytanie brzmi: czy polski model finansowania publicznych działań nie jest na granicy absurdu?

Dwa spostrzeżenia z ostatnich dni, na pierwszy rzut oka zupełnie niezwiązane ze sobą, rzucają światło na jedno z milczących, błędnych, założeń leżących u podstaw funkcjonowania polskiego państwa. A właściwie – u podstaw jego fundamentalnej słabości.

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego z dumą ogłosiło sukces, jakim jest przyznanie środków z Krajowego Planu Odbudowy na kulturę. Mowa o 1503 grantach na projekty „miękkie”, łącznie opiewających na kwotę ponad 112 milionów złotych. Jest to bez wątpienia godne pochwały. Kultura cierpi na chroniczny niedobór finansów, więc każde wsparcie jest na wagę złota.

Entuzjazm wszakże przemienia się w zdziwienie, kiedy zerkniemy na listę dofinansowanych (i niedofinansowanych) projektów. Obok siebie widzimy tam małe organizacje pozarządowe takie jak Stowarzyszenie Dobro Wspólne Jachimowic, niewielkie instytucje kultury – na przykład

Centrum Kultury w Piasecznie, firmy takie jak Audiorepublica Filip Kuncewicz, a także instytucje potężne, takie jak Narodowe Forum Muzyki, Narodowy Instytut Fryderyka Chopina czy Europejskie Centrum Solidarności.

Drugi przypadek dotyczy spółki NCBR Akces, założonej w grudniu 2021 roku przez Narodowe Centrum Badań i Rozwoju. Spółka jest narzędziem realizacji ustawowych działań NCBR, w tym finansowania m.in. działań przygotowujących do wdrożenia wyników badań naukowych i prac rozwojowych (art. 30 ust. 1 pkt 2 Ustawy o Narodowym Centrum Badań i Rozwoju). Kilka dni temu na portalu LinkedIn spółka umieściła reklamę jednego ze swoich bieżących działań, jakim jest komercyjne doradztwo w pisaniu wniosków o granty do innych instytucji. Oczywiście reklamodawca zastrzega: „z racji na relacje właścicielskie nie będziemy procedować wniosków o środki z NCBR” (cytat dosłowny).

Nonsensowna idea

Co te dwie sytuacje mają ze sobą wspólnego? Otóż kryje się za nimi kuriozalne założenie, pielęgnowane przez kolejne rządy i samorządy, a będące chyba spadkiem po dzikim neoliberalizmie z początków transformacji ustrojowej i po mrzonkach pierwszego PiS-u o „tanim państwie”. Brzmi ono następująco: instytucje publiczne powinny w największym, jak to możliwe, stopniu finansować się z zewnętrznych grantów lub świadczonych usług rynkowych. Jeśli nie mogą zarabiać same, bo utrudnia to ustawa o finansach publicznych i takie zarobione przez instytucję publiczną pieniądze diabelnie trudno rozliczyć – to zakłada się spółki-córki, spółki skarbu państwa i tworzy inne, rynkowe wypustki.

Trudno o bardziej nonsensowną ideę. Jeśli już tworzymy instytucje publiczne, to istnieją one po to, by świadczyć usługi publiczne – bezpłatne lub z minimalnym dofinansowaniem z zewnątrz. Tymczasem, przy skąpych budżetach i presji na zewnętrzne źródła finansowania, instytucje te zmusza się do łatania – do desperackich prób pozyskiwania środków z rynku lub funduszy unijnych.

Nie krytykuję decydentów ze spółki NCBR Akces. Robią swoje, mają do tego prawo i nie ma się im co dziwić – muszą utrzymać się na rynku i dlatego świadczą usługi, które świadczyć umieją. Są jednak w trudnej sytuacji, bo będąc w końcu spółką założoną przez NCBR mogą narazić się na podejrzenia (na przykład nakręcane przez politycznych przeciwników), że przyciągają klientów niewyraźną wprost obietnicą możliwego przełożenia na wyniki konkursu – w końcu są bliżej sektora publicznego niż komercyjne firmy kon-

sultingowe. Albo choćby iluzją, że wiedzą coś więcej od takiej rynkowej firmy o tym, jak należy napisać projekt, żeby przeszedł.

Walka o granty

Podobny problem występuje w przypadku konkursu na miękkie projekty z KPO. Dlaczego instytucje, których roczny budżet wynosi 80 lub więcej milionów, konkurują ze stowarzyszeniami o budżecie 20 tysięcy złotych rocznie? Wyraźniej: dlaczego ogromne instytucje kultury, zamiast otrzymać stałe i wystarczające finansowanie

**Kuriozalne założenie,
pielęgnowane przez kolejne
rządy i samorządy brzmi:
instytucje publiczne
powinny w największym, jak
to możliwe, stopniu
finansować się
z zewnętrznych grantów lub
świadczonych usług
rynkowych**

na swoją działalność, muszą dodatkowo walczyć o granty niczym małe i duże psy, skaczące do kiełbasy zawieszanej na sznurku przez właściciela? Z tego samego powodu. Bo trzeba łątać zbyt ciasne budżety, więc wymyśla się rozwiązania przejściowe, „na taśmę klejącą”.

Gdyby zamiast tego zapewnić im odpowiednie środki (a można było znaleźć drogę, by zasilić ich budżety ze środków unijnych na drodze pozakonkursowej),

mogłyby się skupić na realizowaniu swoich podstawowych zadań. Ale nie – trzeba trzymać je w nieustannym niedofinansowaniu, zmuszając do „skakania do kielbasy”, czyli rozpraszenia się na niepotrzebne działania. Niepotrzebne – bo oto pracownicy filharmonii czy opery zamiast tworzyć program występów, plan działań edukacyjnych, czy zajmować się organizacją kolejnych koncertów – ślęczą nad wnioskiem o dofinansowanie. Każdy, kto taki wniosek składał, wie, ile tam „papierologii”.

Podobnie pracownicy spółki NCBR Akces, zamiast zajmować się dość jałową czynnością, jaką jest przygotowywanie dokumentacji, mogliby realizować masę potrzebnych, kreatywnych działań wspierających wartościowe, innowacyjne przedsięwzięcia. A działania takie jak pomoc przy pisaniu wniosku powinny w formie usług publicznych darmowo dla wszystkich zainteresowanych świadczyć instytucje, które to dofinansowanie przyznają, takie jak PARP czy sam NCBR. Pomoc, oczywiście, niewychodzącą poza kwestie formalne i techniczne – tj. nieingerującą w pomysły. Tak, by uczynić najbardziej prawdopodobnym, że wnioskodawcy będą konkurowały autorskimi pomysłami, a nie umiejętnością poruszania się po biurokratycznym polu minowym. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że instytucje przyznające finansowanie, w tym PARP i NCBR, takie usługi świadczą, ale naj-

wyraźniej nie w takim zakresie, jaki odpowiadałby zapotrzebowaniu wnioskodawców – choćby ze względu na braki kadrowe.

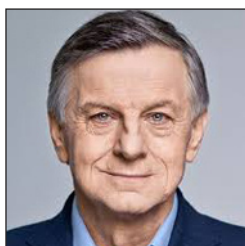
Skoro jednak decydujemy się na łatanie dziur budżetowych papą, to może już lepiej pójść na całość – zamiast wprowadzać neoliberalizm na pół gwizdka, postawić na pełny libertarianizm i zlikwidować instytucje publiczne, na które brakuje pieniędzy, zmuszając obywateli do kupowania usług na wolnym rynku? Oczywiście nie popieram takiego podejścia,

Przy skąpych budżetach i presji na zewnętrzne źródła finansowania, instytucje te zmusza się do łatania – do desperackich prób pozyskiwania środków z rynku lub funduszy unijnych

ale przynajmniej byłoby to uczciwsze niż obecna sytuacja. Tylko prawdopodobnie oznaczałoby to likwidację wszystkich instytucji publicznych w Polsce. Może poza Sejmem i Senatem, i podstawowym składem rządu, który przecież sam się wyżywi.

Bez technospowolnienia staniemy przed niemiłym wyborem: miękki czy brutalny autorytaryzm

z Andrzejem Zybortowiczem rozmawia Jarema Piekutowski



ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

Socjolog, doktor habilitowany, profesor Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. W latach 2008–2010 doradca prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego ds. bezpieczeństwa państwa, od 2015 doradca społeczny prezydenta RP Andrzeja Dudy, doradca szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego.

Zybortowicz: „W USA połowa robotników ma mniejsze zarobki niż ich rodzice. Ta demokracja dobrze działa? Jeśli tak, to na jakim polu przebiega postęp? Mnożeniu genderów i literek w ciągu LGBTQIA+?” Fragment książki „Cyber kontra real”

Jarema Piekutowski: Czy podziela pan opinię, że na świecie mamy do czynienia z kryzysem demokracji liberalnej?

Andrzej Zybortowicz: To nie jest mój wymysł, ani wrogów demokracji, tylko jej zwolenników. Na przykład pod współredakcją prof. Konstantego Wojtaszczyka kilka lat temu ukazała się książka „Zmierzch demokracji liberalnej?”¹, wydana po konferencji, której się przysłuchiwałem. Niektórzy badacze pytali: czy to jest kryzys, czy raczej już zmierzch? Z kryzysów się wychodzi. Zmierzch, czyli ostanía faza, agonia, czyli kres tej formy demokracji, jaka zapanowała na Zachodzie po II wojnie światowej. W najlepszym razie sytuacja co najmniej trudno odwracalna.

Jakie jest pana zdanie?

Jeśli nie zostaną nałożone jakieś filtry na zatrutą infosferę, jeśli nie nastąpi uporządkowanie technosfery, czyli powstrzymanie nieokiełznanych fal innowacji, z których jedne z drugimi się nieraz znoszą, przy okazji rodząc wstrząsy społeczne; jeśli nie będzie moratorium technologicznego, czyli wielkiego spowolnienia, które pozwoli ludzkości rozeznac się w tym, co się faktycznie ze światem dzieje – to nie da się powstrzymać zmięchu demokracji liberalnej.

Jak już wspominałem wcześniej w naszej rozmowie, w 2017 roku wygłosiłem wykład w Trybunale Konstytucyjnym pod tytułem „Technologiczny strzał w demo-

¹ K. A. Wojtaszczyk i in., red., „Zmierzch demokracji liberalnej?”, Warszawa: Oficyna Wydawnicza ASPRA-JR 2018.

krację i państwo prawa”². Postawiłem tezę, że jeśli zawczasu nie zaczniemy myśleć o jakiejś formie uregulowania technologicznej dynamiki współczesności, to może się okazać, że niedługo staniemy przed bardzo niemiłym wyborem: albo miękki autorytaryzm, albo brutalny autorytaryzm. Nie będzie już innej ścieżki. Tak samo jak się mówi, że są różne kapitalizmy, że są różne demokracje, różne style kultury politycznej, to może niedługo będzie trzeba zacząć robić typologię autorytaryzmów, gdyż maksimum tego, co ludzkość będzie w stanie ocalić, będzie wyznaczał jakiś miękki autorytaryzm. A miękki to taki, w którym zgadzamy się, iż tortury są wykluczone. Żeby nie przyszły czasy, że coś takiego już będzie uznane za wielkie osiągnięcie.

Jednak w wielu państwach Zachodu – w Niemczech, w Skandynawii, właściwie w całej zachodniej Europie – demokracja liberalna w miarę dobrze się trzyma. W Stanach Zjednoczonych nastąpiło pewne odejście od niej za czasów Trumpa, a teraz znowu wraca do łask. Na czym, pana zdaniem, polega ten zmierzch czy kryzys?

To jest dobre pytanie. Nie mam prostej, wystarczająco przemyślanej odpowiedzi. Raczej garść intuicji.

Proszę się nimi podzielić.

Takie myślenie na głos – nasuwa mi się sytuacja z Francji związana z „żółtymi kamizelkami” i z lekturami, które mówią o opustoszałych regionach, umierających miastach i miasteczkach. Kraj o wielkiej

wspaniałej tradycji, nagle jest wydrażany. Paryż staje się miejscem, w którym dobrze się czują dwie grupy ludzi: najbogatsi i ci, którzy ich obsługują, gdyż klasy średniej nie stać już na mieszkanie w Paryżu. Ta klasa średnia, która protestowała w żółtych kamizelkach, protestowała dlatego, że musi dojeżdżać ze swoich opustoszałych miejscowości do jakichś nie najlepszych miejsc pracy autami, czy motorami. Kiedy ceny paliwa skoczyły, zostało to odebrane jako życiowe zagrożenie. Tak jakby procesy oddolnej samoregulacji stanowiące od dekad siłę demokracji przestawały działać.

Jeśli zaczynamy nagłaśniać kolejne przykłady korupcyjnych afer, to może wytworzyć się następujący efekt: skoro wszyscy są skorumpowani, to tylko frajerzy w tym nie uczestniczą

Inny przejaw kryzysu: w Stanach Zjednoczonych połowa robotników ma mniejsze zarobki niż ich rodzice. Ta demokracja dobrze działa? Jeśli tak, to na jakim polu przebiega postęp? Mnożeniu genderów i literek w ciągu L-G-B-T-Q-I-A+ oraz niebinarnych form ludzkiego istnienia? Mówiąc po marksistowsku, to wygląda jak typowe opium dla mas – wokeizm jako nowa świecka religia.

² Artykuł zamieszczony w: Wykłady w Trybunale Konstytucyjnym z lat 2017-2018, Warszawa: TK 2018.

Żyjemy w czasie progresu, gdzie super-nieliczni kumulują wielkie fortuny, a zarazem wykupują miejsca w podziemnych bunkrach i kupują posiadłości w Nowej Zelandii na wypadek, gdy cały ład społeczny runie. A połowa klasy robotniczej mniej zarabia niż ich rodzice.

Należy się obawiać, że mechanizm mądrości tłumów w okresie zatrucia infosfery i osłabienia kompetencji poznawczych milionów ludzi przestał dobrze działać

Przyjrzyjmy się temu, co się dzieje w sztuce. Sztuka, mówi się, jest takim czułym detektorem, artyści często wcześniej rozpoznają to, czego badacze nie umieją jeszcze pomierzyć. Bez kłopotu znajdziemy na Netfliksie czy na HBO dużą liczbę filmów postapokaliptycznych, gdzie cała cywilizacja została zrujnowana i ludzie próbują się odnaleźć w „nowym” resztkowym świecie. Zadałem kiedyś na Twitterze pytanie, ile znacie filmów o przyszłości, science fiction z ostatnich lat, które są pozytywne.

Czasem się zdarzają, na przykład „Interstellar”. Ale faktycznie rzadko.

Tak, to piękny film pokazujący siłę ludzkiego rozumu i ludzkiej miłości. Ale z drugiej strony mamy mnóstwo seriali i filmów postapokaliptycznych. „Rain”, „Snowpiercer”, „The 100”, „Elizjum”, „Droga”, „Clo-

verfield Lane 10”, rosyjskie „Ku jezioru”, szereg seriali i filmów o apokalipsie zombie... Druga grupa to filmy o korupcji w łonie świata zachodniego, o których już panu wspominałem: „House of Cards”, „Borgen”, „Marsylia”, „Suburbia”, „Kobiety nocy” i tak dalej. Sądzę, że w jakimś sensie „House of Cards”, serial z lat 2013-2018 – wybitne dzieło sztuki, dające głębokie wglądy w kulisy demokratycznego procesu politycznego – przyczynił się do procesu degradacji zachodniej demokracji.

W jaki sposób?

To był termometr, który pokazał faktyczną temperaturę demokracji. Ujawnienie tej temperatury spowodowało efekt, który opisany został przez wybitnych szwedzkich badaczy korupcji, między innymi Bo Rothsteina, którzy zastanawiali się, czy lepiej niektórych prawdziwych analiz nie nagłaśniać publicznie. Rothstein pisał o tym, że programy antykorupcyjne w Afryce, obejmujące elementy edukacyjne, przyczyniły się do wzrostu korupcji. W jaki sposób? Jeśli zaczynamy nagłaśniać kolejne przykłady korupcyjnych afer, to może wytworzyć się następujący efekt: skoro wszyscy są skorumpowani, to tylko frajerzy w tym nie uczestniczą. Wytwarza to społeczne przyzwolenie – i korupcja się poszerza.

Co ma pomyśleć o sobie biznesmen czy miejski polityk, który ogląda know-how skutecznej współpracy z mafią? Który dostaje instrukcję, jak zacierać ślady swoich występków? Te wszystkie filmy – dodam tu jeszcze miniserial brytyjski „Na poboczu” – pokazują, że polityka ma obłudną twarz i skupia uwagę na zakulisowych grach interesów. Na świecie, w którym panuje oszustwo, przemoc, mafie, skorumpowani dziennikarze, operacje wy-

wiadownicze, kontrwywiadowcze, prawie każdy ma coś za uszami.

Przez lata w kinie amerykańskim dominował taki obraz: władza jest skorumpowana, ale są bohaterowie, jak dziennikarz z filmu „Wszyscy ludzie prezydenta” o aferze Watergate. Są nieskorumpowane media, albo przynajmniej pojedynczy dziennikarze z zasadami – i zawsze ten wojownik prawdy, ten whistleblower, który naraża swoje interesy, swoją rodzinę, swoje życie, może jednak liczyć na wsparcie wolnych mediów. A teraz okazuje się, że te media są już tak skomercjalizowane, że dla nich nie jest ważna prawda, tylko bezpieczeństwo prawne i zysk.

W momencie, gdy Polska wstępowała do Unii i przeczytałem, że więcej Polaków ufa organom unijnym niż krajowym, to nie byłem zdziwiony – pomyślałem: przecież państwo postkomunistyczne. Ale gdy później przeczytałem, że w wielu krajach „starej Unii” ludzie bardziej ufają instytucjom unijnym niż tym w ich własnych krajach, to pomyślałem, że coś nie gra. Wtedy jeszcze nie trąbiono o kryzysie demokracji liberalnej.

Dlaczego tak jest, że nie ufamy swoim, a jakimś odległym instytucjom?

Może właśnie dlatego, że są odległe. Wiadomo, że trawa wokół obcego domu jest zawsze bardziej zielona. Nie dlatego, że Unia jest taka wspaniała, tylko że jest bardziej odległa. Ludzie kupili mitologię tego projektu. Ułomność i skorumpowanie władz w swoich własnych krajach, w Wielkiej Brytanii, w Austrii, we Francji widzą na co dzień.

Na poziomie teoretycznym wróciłbym do wątku o degradacji poznawczej spowodowanej przez cyfrową infosferę i powiedział: demokracja przy wszystkich swoich ułomnościach zakłada, że wyborcy mają w zasadzie prawdziwy obraz świata i potrafią zatem dość racjonalnie odróżnić polityka sprawnego od niesprawnego, uczciwego od nieuczciwego; potrafią ocenić związki przyczynowe między decyzjami politycznymi a tym, jak im się wiedzie. Że per saldo działa „mądrość tłumów”,

Pamiętam, jak w latach 90-tych nagle pojawiły się w radiu głosy przedziwne, których nigdy w życiu nie słyszałem, głosy dzieciaków z wadami wymowy, jakichś nerwusów, szajbusów

o której pisał James Surowiecki³. Należy się obawiać, że mechanizm mądrości tłumów w okresie zatrucia infosfery i osłabienia kompetencji poznawczych milionów ludzi przestał dobrze działać. Wyborcy już nie potrafią racjonalnie, ani nawet quasi-racjonalnie ocenić wielu sytuacji. Zresztą, zagubieni są także politycy i pracujący dla nich eksperci.

A myśli pan, że kiedyś umieli myśleć bardziej racjonalnie? Zawsze były media, które manipulowały. W czasach

³ J. Surowiecki, „Mądrość tłumu: Większość ma rację w ekonomii, biznesie i polityce”, Gliwice: Helion 2010.

telewizji wybór źródeł informacji był dużo mniejszy.

Co daje większy wybór, jeśli dotyczy szerszej gamy ofert podłej jakości? Gdy dominuje postprawda, to demokracja liberalna na postprawdzie może pojechać jakiś czas, ale chyba nie za długo. Technologiczne rozregulowanie przestrzeni wolności powoduje, że demokracja sama sobie założyła pętlę na szyję.

Jakie to przestrzenie?

W dawnej sferze komunikacji publicznej byli gatekeeperzy i pewne treści nie dostawały się na antenę. Wybór kanałów informacji był mniejszy, ale istnieli tzw. strażnicy dyskursu publicznego, którzy odfiltrowywali przynajmniej dużą część info tandety.

Podam przykład anegdotyczny. W radiu ktoś z wadą wymowy w PRL-u nie wystąpił, musiał mieć kartę mikrofonową, czyli przepustkę pozwalającą na nagrywanie materiałów, ich emisję na antenie, na prowadzenie programów lub czytanie newsów. Pamiętam, jak w latach 90-tych nagle pojawiły się w radiu głosy przedziwne, których nigdy w życiu nie słyszałem, głosy dzieciaków z wadami wymowy, jakichś nerwusów, szajbusów. Nie mówię już o zepsuciu języka i jego wulgaryzacji. Na początku lat 90. zauważyłem, że dziewczyny zaczęły publicznie kląć bez żadnego skrępowania. Wcześniej tego chyba nie było. Skąd się to wzięło? Jaki jest dokładnie mechanizm, który do tego doprowadził? Czy to potrzeba odstresowania, bo świat się stał trudniejszy? Czy pewne mechanizmy kontroli społecznej przestały działać? Autorytet rodziców znacząco się osłabił? Chyba tak. W rezultacie coś, co było okazjonalne, stało się codzienne. Coś, co

było ekscesem, stało się normą. Wiele filmów na Netfliksie ma charakterystykę: „wulgaryzmy, przemoc seksualna”. Krótko mówiąc: wolność zjada własny ogon.

Zatem pana zdaniem należy ją ograniczać? Czy to nie jest prosta droga do dyktatury?

Zdefiniujmy wolność jako możliwość realizacji swoich celów. Żeby zrealizować pragnienie, pojedę do ukochanej na drugi koniec Polski. Pomijając aspekt finansowy – mam na bilet, czy nie – to jeszcze musi działać system społeczny: maszynista nie może kierować się swoimi humorami,

Coś, co było ekscesem, stało się normą. Wiele filmów na Netfliksie ma charakterystykę: „wulgaryzmy, przemoc seksualna”. Krótko mówiąc: wolność zjada własny ogon

ale procedurami, nie może powiedzieć sobie w połowie trasy – „odpuszczam, bo mam chandrę”, tak samo dróżnik. Setki ludzi muszą działać w ramach reguł instytucjonalnych, a nie kierować się swoim widzimisię albo wyobrażeniem wolności. Żeby pan mógł z mojej wolności skorzystać, inni muszą działać w koleinach pewnych procedur. Musi być egzekwowane prawo własności, żebym mógł kupić motocykl, żebym książki kupował, a nie zabierał komuś z ręki w parku czy wynosił z księgarni. Mnóstwo ograniczeń wolności,

procedur, które czynią ludzkie działania przewidywalnymi, musi działać, byśmy mogli, korzystając z wolności osiągać swoje cele.

Dealer, u którego kupuje się kokę, musi być człowiekiem wiarygodnym – spodziewamy się, że nie sprzeda kompletnego szajsu, który nas zabije. Wiadomo, że na dealerze nie można polegać w innych sprawach niż te związane z dostawą towaru, ale można liczyć na to, że na czas dowiezie towar o określonej jakości, jeśli jest naszym stałym dealerem.

Tymczasem wizje wolności genderowej są takie, jakby nie było potrzeba nam żadnych ram, które trzeba respektować. Jeśli masz tożsamość, to ona cię jakoś zamyka („wyzwolicielki” mówią nawet o tyranii tożsamości), ale jeśli nie masz tożsamości, to nie masz w głowie bezpieczeństwa symbolicznego i możesz zwańrriować albo stać się marionetką w czyichś rękach. A dziś chcemy zdekonstruować kolejną kategorię, będącą elementem rusztowania społecznego, które ograniczając, jednocześnie daje przestrzeń wolności.



JAREMA PIEKUTOWSKI

Członek zespołu, główny ekspert ds. społecznych

Dokument 79. Jak Chiny planują odciąć się od zachodniego oprogramowania i sprzętu



PAWEŁ BEHRENDT

Publicysta, tłumacz,
szef działu aktualności portalu Konflikty.pl

Pekin planuje całkowite wycofanie zagranicznego oprogramowania do 2027 roku. Czy zapadnie technologiczna żelazna kurtyna?

Zimna wojna 2.0 nabiera rozpędu. Wprawdzie nie zapadła jeszcze żadna nowa żelazna kurtyna, ale dzień ten jest już bliski. Nie oczekujmy jednak żadnego muru berlińskiego czy czegoś podobnego. Nowa żelazna kurtyna pojawia się w świecie technologii.

Przyjęło się myśleć, że Pekin stworzył cieplarniane warunki dla rozwoju krajowych firm technologicznych. Jest to jednak błędne przekonanie. W teorii tworzenie od lat 90. własnego internetu, niezależnego od globalnej sieci, promowało chińskie przedsiębiorstwa. Jednak giganci z Doliny Krzemowej, jak zawsze gdy w grę wchodzi duże zyski, okazują wyjątkową spolegliwość wobec autorytarnych władz. Wystarczy wspomnieć wyszukiwarkę Bing, która w Chinach dostosowała się do tamtejszego systemu cenzury – użytkownik z chińskim IP nie ma szans znaleźć wyników na zapytania takie jak prawa człowieka, 06.04. (4 czerwca – masakra na placu Tiananmen), Tybet itd.

Jak to jednak ujął Nigel Inkster, były brytyjski dyplomata i oficer wywiadu zajmujący się Chinami, za Great Firewall of

China nie rozciągała się kraina mlekiem i miodem płynąca, gdzie firmy w spokoju mogły się rozwijać, lecz arena, na której gladiatorzy walczą na śmierć i życie. W tych trudnych warunkach rozwinęły się Alibaba, Tencent i inni. Firmy te urosły z biegiem lat na tyle, że zaczęły skutecznie rywalizować z Doliną Krzemową na skalę globalną. Jednocześnie do tego stopnia zdominowały krajowy rynek, że KPCh zaczęła postrzegać je jako zagrożenie i spacyfikowała.

Przewaga rodzimych firm technologicznych w Chinach opiera się też na lepszym zrozumieniu i dostosowaniu do potrzeb użytkowników. Wystarczy wspomnieć przykład WeChata. Zaczynając jako platforma społecznościowa podobna do Twittera, przekształciła się w megaaplikację oferującą olbrzymi wachlarz usług – od komunikatora, przez zamawianie taksówek, po płatności bezgotówkowe i inne usługi finansowe. Google czy Meta nie były w stanie nawet znaleźć pomysłu, by mimo wkradania się w łaski władz, zyskać przychylność chińskich użytkowników.

Nie znaczy to, że amerykańskie czy, szerzej, zachodnie firmy zostały całkowicie wypchnięte z Chin. Bing jest cały czas drugą najpopularniejszą wyszukiwarką za Wielkim Murem, po rodzimej Baidu. Również Windows radzi sobie bardzo dobrze. Popularność Windowsa 7 wymusiła na Microsoftzie przedłużenie okresu, w którym oferował aktualizacje do tej wersji swojego systemu operacyjnego. Poza tym zagraniczne firmy znalazły swoją niszę, dostarczając specjalistyczne oprogramowanie biznesowe, zarządzania bazami danych, klientów poczty. Nadal także dużą część rynku stanowiły komputery i urządzenia biurowe z logo zagranicznych firm, produkowane oczywiście w Chinach. Prym wiodą tutaj HP i Dell. Te czasy jednak już się kończą.

Rywalizacja się zaostrza

Pod rządami Xi Jinpinga Chiny przestały kryć się z zamiarem zastąpienia Stanów Zjednoczonych jako wiodącego światowego mocarstwa. Jak w warunkach zaostrzającej się rywalizacji można utrzymywać zależność od arcyrzywała w tak kluczowych dziedzinach jak sprzęt komputerowy i oprogramowanie? Odpowiedź jest oczywiście negatywna. Wojna handlowa, pandemia, a w końcu wojna rosyjsko-ukraińska jedynie uczyniły tę sprawę bardziej palącą.

Pierwsze kroki podjęto już w 2018 r. wraz z ogłoszeniem inicjatywy „Chińskie Standardy 2035”. Szczegóły projektu nie są znane, ale fakt, że patronat nad nim objął sam Xi, daje dużo do myślenia. Ogólne założenia są proste – chodzi o wspieranie rozwoju własnych standardów technologicznych i umacnianie pozycji chińskich firm wobec zagranicznej konkurencji.

W teorii istnieją bardzo sprzyjające warunki do tworzenia przez Chiny własnych standardów technologicznych. Ocenia się, że tylko chińskie władze centralne używają ok. 50 mln komputerów osobistych. W całych Chinach rocznie sprzedaje się około miliona sztuk urządzeń biurowych.

Pytanie, dlaczego wraz z tworzeniem własnego ekosystemu sieciowego nie wprowadzano własnych standardów, ma bardzo prostą odpowiedź. To się zwyczajnie nie opłacało. Więcej korzyści, przynajmniej z punktu widzenia firm, przynosiło stosowanie globalnie uznanych standardów technologicznych. Wyraźnie widać to było podczas ustanawiania standardów 5G.

Giganci z Doliny

**Krzemowej, jak zawsze gdy
w grę wchodzi duże zyski,
okazują wyjątkową
spolegliwość wobec
autorytarnych władz**

Pekin liczył, że Huawei i ZTE będą współpracować, stało się jednak inaczej. Oby chińskim gigantom bardziej opłacało się współpracować z zagranicznymi partnerami i promować osobne rozwiązania. Od tamtej pory wiele się zmieniło. Oprócz nabierania tempa przez rywalizację z USA, Chiny objęły sektor technologiczny ściślejszą kontrolą, a rodzime firmy mają więcej do zaoferowania.

Możliwe stało się zatem podjęcie bardziej zdecydowanych kroków. Wiosną 2022 r. władze zaleciły instytucjom rzą-

dowym, firmom państwowym i podmiotom o kluczowym znaczeniu, takim jak szpitale, przejście w ciągu dwóch lat na używanie komputerów i urządzeń biurowych wyłącznie rodzimej produkcji. Pekin zaczął również zachęcać do wymiany Windowsa na systemy operacyjne oparte na Linuksie.

Administracja Standaryzacji i Państwowa Administracja Regulacji Rynkowych postulowały jeszcze bardziej radykalne kroki. W kwietniu 2022 r. obie agencje zaproponowały, by w przyszłości wszelkie elementy urządzeń biurowych, łącznie z procesorami, były projektowane, rozwijane i produkowane w Chinach. Była to odpowiedź na zachodzące zmiany. Amerykańskie uderzenia w chiński sektor półprzewodników sprzęgły się z efektami wojny handlowej. Chińscy podwykonawcy HP czy Della, w obawie przed sankcjami, rozpoczęli przenosić produkcję do krajów Azji Południowo-Wschodniej. W efekcie udział importowanych komputerów w sprzęcie kupowanym przez instytucje rządowe zaczął rosnąć.

Z drugiej strony również zagraniczne firmy z branży IT podjęły próbę dostosowania się do nowych warunków. Już po rewelacjach Snowdena na temat działań szpiegowskich USA w 2015 r. Microsoft i dział HP odpowiedzialny za usługi informatyczne przeprowadziły działania wyprzedzające i przystąpiły do tworzenia spółek joint venture z chińskimi partnerami, próbując tym samym chociaż częściowo zabezpieczyć zyski z dostarczania oprogramowania czy obsługi serwerów.

Tylko chińskie aplikacje...

Chińskie działania w kierunku informatycznego *decouplingu* nabrały rozpędu we wrześniu 2022 r. wraz z kolejną transzą

amerykańskich sankcji w sektorze półprzewodników i zaawansowanych komputerów. Powstał wówczas tzw. Dokument 79, do którego na początku tego roku dotarł „The Wall Street Journal”. Przedsiębiorstwa państwowe otrzymały polecenie, by do 2027 r. całkowicie zastąpić zagraniczne oprogramowanie krajowym. Raporty z realizacji rządowych zaleceń mają być składane co kwartał.

Firmy takie jak Alibaba i Tencent urosły na tyle, że zaczęły skutecznie rywalizować z Doliną Krzemową na skalę globalną

Mimo wielu wysiłków i rozwoju odnoszących sukcesy aplikacji chińskie firmy mają problemy z opracowywaniem całkowicie własnego, autorskiego oprogramowania. Wystarczy wspomnieć o próbach stworzenia własnych systemów operacyjnych. Na ratunek przychodzi zachodnie oprogramowanie open source. W ten sposób powstały Unity Operating System (UOS) i Harmony OS, będące bazującymi na Linuksie zamiennikami dla odpowiednio Windowsa i Androida.

Nie należy jednak lekceważyć chińskich programów. Mają one fundamentalną zaletę w postaci dostosowania do lokalnej specyfiki. Weźmy pod uwagę chociażby możliwość integracji z krajowymi aplikacjami, jak WeChat, co ułatwia obsługę klienta na właściwie każdym poziomie. Nawet jeżeli chiński software jest w niektórych aspektach technicznych gorszy od produktów Microsoftu, HP czy Oracle,

to jest zdecydowanie lepiej dostosowany do preferencji chińskich użytkowników.

Znaczenia Dokumentu 79 nie sposób przecenić. Sprzedaż oprogramowania biznesowego i usługi związane z jego obsługą stały się ostatnim bastionem Doliny Krzemowej na chińskim rynku. Zmiany są już widoczne i firmy muszą sobie z nimi radzić. Według danych serwisu FactSet, w 2018 r. Chiny odpowiadały za 14% zysków HP. W 2023 r. było to już ledwie 4%. W rezultacie firma zdecydowała się sprzedać wszystkie swoje udziały w lokalnej spółce *joint venture* chińskiemu partnerowi.

W nie lepszej sytuacji są Oracle i Microsoft, które dominowały w sektorze systemów zarządzania bazami danych. W ostatnich latach konkurencyjne rozwiązania opracowane przez Alibabę i Huawei zaczęły umacniać swoją pozycję i nic obecnie nie wskazuje, by trend ten miał ulec zmianie. Sam dyrektor Microsoftu, Brad Smith, przyznał podczas ubiegłorocznego wysłuchania przed Kongresem, że Chiny odpowiadają obecnie za ledwie 1,5% zysków koncernu.

...i chiński sprzęt

Nie inaczej wygląda sytuacja z hardware’em. Zainicjowane w 2022 r. przez władze działania szybko zaczęły przynosić efekty. Jednak harmonogram najwyraźniej uległ zmianom, bowiem nie zaobserwowano masowej wymiany komputerów w urzędach i przedsiębiorstwach państwowych. Widoczny jest natomiast inny trend: w zamówieniach nowego sprzętu spada udział komputerów Della i HP oraz procesorów Intela, rośnie natomiast udział sprzętu Huawei, Tsinghua Tongfang, TaiShan i innych krajowych producentów. Według danych firmy analitycznej Catalys,

Dell i HP w 2021 r. odpowiadały za ok. 21% nowych komputerów sprzedawanych w Chinach, w ubiegłym roku za ok. 17%.

26 grudnia 2023 r., bez większego nagłośnienia sprawy, chińskie ministerstwa finansów i przemysłu opublikowały nowe wytyczne. W ich myśl na przestrzeni kolejnych trzech lat agencje rządowe mają odejść od stosowania procesorów Intela i AMD w komputerach i serwerach. Na ich miejsce mają być wprowadzane rozwiązania krajowe. Stawia to w trudnej sytuacji zwłaszcza Intela, dla którego Chiny są największym rynkiem zbytu i odpowiadają za 27% zysków. Dla AMD chiński rynek także jest ważny, chociaż mniej – firma uzyskuje tam 15% zysków.

Wiosną 2022 r. władze zaleciły instytucjom rządowym i firmom państwowym przejście w ciągu dwóch lat na używanie komputerów wyłącznie rodzimej produkcji

Jednocześnie ministerialne wytyczne zaleciły instytucjom i agendum rządowym od szczebla gminy wzwyż, by podczas zakupów oprogramowania kierowały się „względamy bezpieczeństwa narodowego”. Jest to niezbyt zawoalowany przekaz nakazujący wybierać krajowe rozwiązania.

Akcja i reakcja

Oczywiście każda akcja powoduje reakcję. Skoro chiński rynek staje się mniej at-

rakcyjny, mniej przyjazny, a silna obecność tam może spowodować problemy w relacjach z Waszyngtonem, firmy muszą podjąć środki zaradcze. W maju pojawiły się informacje, że Microsoft zaproponował części swoich chińskich pracowników, by rozważyli przenosiny do USA albo innych państw. Chodzi o ok. 700–800 specjalistów zajmujących się sztuczną inteligencją i obliczeniami w chmurze.

W myśl nowych wytycznych na przestrzeni trzech lat agencje rządowe mają odejść od stosowania procesorów Intelu i AMD

Jeszcze bardziej zdecydowane działania planuje HP. W ciągu najbliższych 2-3 lat firma chce drastycznie ograniczyć produkcję w Chinach, tak by nawet 70% laptopów powstawało poza Państwem Środka. Na nowy główny hub produkcyjny typowana jest Tajlandia, a część poddostawców HP już miała rozpocząć inwestycje w tym kierunku. Dużą rolę w tej polityce odgrywają też działania Stanów Zjednoczonych. W najbliższych latach na rynek wejdą nowe komputery osobiste przystosowane do korzystania ze sztucznej inteligencji. Amerykańskie władze zaś już zakazały sprzedaży do Chin procesorów Intel Core Ultra 9, zaprojektowanych z myślą o takich urządzeniach. Krótko pisząc, produkcja najnowszej generacji komputerów osobistych i przenośnych w Chinach będzie mocno utrudniona.

Drugi krok, jaki podjęło HP, to tworzenie nowego „hubu” projektowego w Sin-

gapurze. Firma chce zatrudnić tam ok. 200 inżynierów i managerów specjalizujących się w zarządzaniu łańcuchami dostaw. Singapurski ośrodek ma pełnić funkcję pomocniczą wobec głównego centrum projektowego na Tajwanie. W ten sposób HP chce się zabezpieczyć na wypadek chińskiej inwazji na wyspę i wybuchu wojny w Azji Wschodniej.

Z kolei IBM szykuje się do zamknięcia swojego chińskiego centrum badawczo-rozwojowego. Dział zajmujący się rozwojem oprogramowania zakończy swoją historię, natomiast dział odpowiadający za systemy obróbki i zarządzania danymi ma zostać przeniesiony gdzie indziej.

Możliwości odpowiadające ambicjom

W ostatnich latach możliwości chińskiej branży technologicznej zaczęły wreszcie odpowiadać ambicjom rządzących ChRL. Do aktywnego tworzenia własnych standardów technologicznych konieczna okazała się jednak polityczna wola. Trudno wszak oczekiwać, by mocarstwo z aspiracjami nadal polegało na rozwiązaniach stworzonych przez głównego rywala. Rozwijając własne technologie, Chiny ograniczają jeden z lewarów, jakie nad nimi mają Stany Zjednoczone.

Na jednych polach chińskie sukcesy robią wrażenie, na innych jest jeszcze długa droga do przebycia. Jak może potoczyć się ich rozwój w najbliższych latach? Bardzo dużo zależy od wyniku wyborów w USA. Zwycięstwo Kamali Harris będzie oznaczać kontynuację „stabilnego x”. Powrót Donalda Trumpa do Białego Domu to zapowiedź bardziej impulsywnej i mniej przewidywalnej polityki. To zaś będzie oznaczać przyspieszenie podziału świata na dwa technologiczno-informatyczne ekosystemy, które z biegiem czasu będą

coraz mniej kompatybilne. Postawi to wiele państw i przedsiębiorstw przed trudnymi wyborami. Z uwagi na cały czas rosnące znaczenie technologii w gospo-

darce i życiu codziennym taka systemowa bariera będzie znacznie szczelniejsza niż dawna żelazna kurtyna.

Polska po 1989 bezlitośnie rozliczona. Zdrada elit i moralne upadki



TOMASZ SZYMAŃSKI

Socjolog, historyk, muzealnik. Autor książek oraz artykułów ukazujących się w periodykach, czasopismach i publikacjach zbiorowych. Pisze o historii, kulturze oraz myśli społecznej i politycznej. Opublikował ostatnio zbiór esejów „Polskość jako zaleta” (Radzimin-Warszawa 2021).

Horubała dokonuje polskiego rachunku sumienia. Wypada on fatalnie. Elity po transformacji ustrojowej nie umiały stworzyć dobrze działającego państwa, ale też upadały przez przyziemne słabości: chciwość, pijaństwo, pożądanie

Od razu wyjaśniam: Andrzej Horubała (pisarz, krytyk literacki, przez wiele lat związany z telewizją) nie napisał trylogii sensu stricto. Jest to moja subiektywna kompilacja, ponieważ jego trzy powieści: „Umoczeni”, „Przesilenie” oraz wydana przez Nową Konfederację „Wdowa smoleńska albo niefart”, ułożyłbym w ciąg opisujący III Rzeczpospolitą. Opisują one w bardzo interesujący sposób, w charakterystycznym dla autora stylu, bez taryfy ulgowej.

Chodzi mi nawet po głowie określenie „literatura rozrachunku”. Polski rachunek sumienia? Czy dokonuje go Horubała? Myślę, że tak. W poszukiwaniu powieści opisujących Polskę po 1989 roku (jak wiemy, nie doczekaliśmy się nowego „Przedwiośnia”), uważam, że warto sięgnąć po te trzy tytuły (choć trzeba dodać, że nie są one jedynymi w dorobku autora). Łączy je społeczno-polityczny rys oraz niepokojące pytania o stan naszego państwa i tworzących go elit.

Żar zwycięstwa nas wypalił

„Byli niecierpliwi i brakowało im prawości. Nie wiedzieli, że upadną przez przyziemne grzechy: chciwość, złość, pijaństwo. Tak jak ja, liczyli na odświętną chwilę próby. Sądzieli, że przyjdzie wielki Sowiet i spyta: jesteś za komuną czy przeciw? I byli gotowi tylko na wielkie deklaracje. Byli gotowi na pojedynek z olbrzymim diabłem, który kusi w swoim łatwo rozpoznawalnym majestacie. Nie wiedzieli — i ja nie wiedziałem — że do małych ludzi przychodzą małe diabelki w postaci lenistwa, złych myśli, pychy. Czekali na wielkiego szatana, najlepiej z malinowymi epoletami NKWD, a dali się pokonać malutkim, powszednim diablikom” – ten fragment powieści „Umoczeni” to być może najbardziej przenikliwy obraz stanu ducha postsolidarnościowych elit politycznych, jaki dostaliśmy w naszej literaturze. Książka ukazała się w 2004 roku, ale, moim zdaniem, wiele dokonanych w niej spostrzeżeń psychologicznych

nie straciło na aktualności. Są one niepokojąco „znajome”, nawet w roku 2024.

Osią narracji jest sprawa użycia kompromitującego materiału wideo przeciwko kontrkandydatowi w wyborach prezydenckich. Obok tego wątku toczą się wątki prywatne, kampania wyborcza i opis wielu aspektów polskiej rzeczywistości po PRL-u.

Ci, którzy rzucili wyzwanie komunizmowi, a później postkomunizmowi, mierzą się z pokusą makiawelizmu. „Trzeba użyć siły, skoro jest okazja” – napisał Machiavelli w III tomie „Historii florenckich”. Tak rozumują bohaterowie „Umoczonych”, a „siła” przyjmuje tu postać „haka” na opozycjonistę (jak powstał? – to pozostaje powieściowym niedopowiedzeniem). Chodzi jednak o coś więcej. W rzeczywistości demokratycznej, w sytuacji nasilonej wojny między partiami, „siłą”, o której pisał Machiavelli, nie jest wyłącznie przemoc, ale na przykład prowokacja skutkująca tzw. sekstaśmą (jak w „Umoczonych”). Taką „siłą” mogą być także upolitycznione media (ten wątek pojawia się również we „Wdowie smoleńskiej”), fundusze państwowe czy wpływ na policję i prokuraturę, co może być orężem każdej partii, bez wyjątku.

„Umoczeni” to groźne memento, o wartości nie tylko historycznej, choć powieść często kojarzona jest z rozrachunkiem z latami 90. To również przestroga przed pułapką wygranej, w którą zdają się wpadać w Polsce kolejne rządy. Jak śpiewał Jacek Kaczmarski w zapomnianej piosence „Nasza klasa '92”:

*Osiągnęliśmy dojrzałość
Zajmujemy stanowiska,
Co się zżarło i wychlalo
Na zmęczonych puchnie pyskach
Cośmy pozapominali
Zostawiło w oczach pustkę*

*Żar zwycięstwa nas wypalił
Jak karabinową łuskę*

„Czwarta władza” bez moralnego fundamentu

„Obudziłem się w kraju umiarkowanego faszyzmu” – zdanie wypowiedziane przez bohatera „Przesilenia” brzmi jak coś, co moglibyśmy usłyszeć dziś. Zasłyszane niedawno, przeczytane w lewicowej gazecie czy na mainstreamowym portalu, w wywiadzie ze znanym celebrytą?

**„Byli niecierpliwi
i brakowało im prawości.
Nie wiedzieli, że upadną
przez przyziemne grzechy:
chciwość, złość, pijaństwo.
Tak jak ja, liczyli na
odsświętną chwilę próby.
Sądzieli, że przyjdzie wielki
Sowiet i spyta: jesteś za
komuną czy przeciw? I byli
gotowi tylko na wielkie
deklaracje”**

To powieść o płytkości polskiej popkultury i w dużej mierze o ludziach, którzy ją tworzą. Historia nawrócenia gwiazdora prowadzącego najpopularniejszy talk-show w Polsce (to tak jakby nagle nawrócił się Kuba Wojewódzki i zaczął mówić o wierze), posłużyła Horubale do ukazania – niejako „przy okazji” – rzeczywistości świata mediów.

W „Przesileniu” widzimy dwa środowiska: niewierzących i wierzących. Ci pierwsi są bogatsi, często wyrachowani, patrzący z pogardą na „wierzący lud”. Z kolei wierzący to ludzie z ruchów kościelnych, na spotkaniu których świadectwo nawrócenia daje ocalony „Rzeźnik” – pseudonim gwiazdy talk-show. Są gorzej ubrani, z nizin społecznych. Nawet wierzący bardziej zamożni – to przyjaciele głównego bohatera, katolicy zapraszający go na spotkania kolędowe – żyją skromnie, na poziomie „małej stabilizacji”.

Sowiet i spyta: jesteś za komuną czy przeciw? I byli gotowi tylko na wielkie deklaracje”

W rzeczywistości demokratycznej, w sytuacji nasilonej wojny między partiami, 'siłą' może być prowokacja skutkująca sekstaśmą

Fascynujące w tej powieści jest to, że nie wiemy, kto tak naprawdę jest egzystencjalnie „biedniejszy”. Czy wierzący, którzy nie podążają za nurtem progresywnego życia, ale odnajdują siłę we wspólnocie i wierze, która daje im siłę nawet w obliczu śmiertelnej choroby? Czy jednak człowiek mediów, dla którego sukces jest jedynym celem?

Ta powieść o mediach opisuje współczesny polski krajobraz społeczny. „Czwar-

ta władza” jest tu ukazana jako dziedzina, gdzie pokusa skuteczności (skuteczności mimo wszystko) i egocentryzm wygrywają z etyką, tak jak w „Umoczonych” nad moralnością biorą górę polityczna skuteczność i egocentryzm związany z zajmowaną pozycją (on też doprowadza do małżeńskiej zdrady). Jednak nawet w tej rzeczywistości nie przekreśli się pytań o sferę ducha i nie pokona, za pomocą słów lekceważenia lub pogardy, pytań o wiarę. Katolicyzm jest w powieściach Horubały siłą płynącą w żyłach polskości. Choć nie jest przedstawiany jako jakaś wielka energia kreująca życie społeczeństwa, to jednak wciąż działa i nawraca, nawet jeśli płynie podskórnie. Aby o tym działaniu się przekonać trzeba wraz z głównym bohaterem „Przesilenia” udać się do podziemi kościoła i posłuchać o prawdziwej przemianie.

Słabe państwo

W „Umoczonych” zakończenie powieści przynosi zderzenie z brutalną prawdą: małostki i zdrada moralnych zasad mogą zniszczyć nawet najpiękniejsze plany, a stylizowany na dworek dom może spłonąć (metafora Polski? Prawicy?). Ekshibicjonistyczna i „reporterska” powieść „Wdowa smoleńska albo niefart” wyciąga na wierzch myśli, które towarzyszyły wielu Polakom po katastrofie smoleńskiej, ale niewielu miało odwagę wyrazić je na głos: „Czułem wstyd. Że należę do narodu, który nie potrafi bezpiecznie przewieźć swojego prezydenta samolotem. Trochę obciach”. „Państwo nie zdało egzaminu. Nawet jeśli ktoś mówi o zamachu, musi zrozumieć, że wina polskiego państwa jest potężna” – powiedział Horubała w wywiadzie dla Magdaleny Rigamonti.

To mocne opinie. Przeziara przez nie konserwatyzm Horubały. Tak, konserwa-

tyzm. Przejawiający się w trosce o poważne państwo i pragnieniu poważnych elit. To konserwatyzm osobliwy, niepokorny, drażniący upartym dążeniem do prawdy, który nie cofa się przed zajrzeniem w mroczne zakamarki życia polskiego. Nade wszystko literaturze Horubały nadaje znamion konserwatyzmu to, co moim zdaniem jest

W „Umoczonych” nad moralnością biorą górę polityczna skuteczność i egocentryzm związany z zajmowaną pozycją (on też doprowadza do małżeńskiej zdrady)

kluczem do zrozumienia trzech analizowanych powieści, jest niejako ich wspólnym mianownikiem. To prosta konstatacja, że bez ładu moralnego nie ma mowy o dobrze działających politykach, mediach wysokiej jakości i o debacie publicznej, która nie zamieniłaby się w partyjną nawalankę kosztem racji stanu. Postaciom sportretowanym w „Umoczonych” brakuje etyki. Moralna jakość uchroniłaby ich od uległości złu. Z powodu kryzysu etycznego

mamy miałość popkultury i cwaniactwo medialnych gwiazd pokroju Rzeźnika (przed nawróceniem) i Wojtka – głównego bohatera „Przesilenia”. Jak pokazuje powieść, może to prowadzić do duchowej śmierci. We „Wdowie smoleńskiej” Horubała pokazał z kolei brak etyki odpowiedzialności – za słowa, za słabość państwa, za rozpętanie konfliktu, za dowolne operowanie przez elity patriotycznym frazesem, które nic nie kosztuje, ale bez woli naprawy państwa i szerszej refleksji politycznej nic nie oznacza. Sprawa smoleńska także pokazuje, ukazaną przez Horubałę makiaweliczną pułapkę obecną w polskiej polityce: „Trzeba użyć siły, skoro jest okazja”. Skoro narodową tragedię jednoczącą naród można wykorzystać do walki o władzę, to ją wykorzystajmy – powiedziały elity polityczne. Przypomnijmy sobie wydarzenia po kwietniu 2010.

Te książki pisane są bez znieczulenia, w wysokim rejestrze emocjonalnym. Horubała sam przyznaje, że chce „rozszczelnić”, czyli wyrywać z ustalonych pozycji. Lubi podważać schematy, drażnić i niepokoić. Taka postawa, jeśli służy dążeniu do prawdy, jest bardzo cenna, zwłaszcza w czasach, gdy myślimy kategoriami „naszej opcji”, zamiast uniwersalnymi kryteriami prawdy i dobra.

Horubała nie daje prostych recept na życie i na Polskę, ale na pewno pozwala je lepiej zrozumieć.

Niemcy przywracają kontrole graniczne. Rośnie poparcie dla Harris | Niezbędnik Zagraniczny NK 6-13.09.2024



GABRIELA MASZTAFIAK

Politolog z zawodu i zamiłowania, z widokiem na studia doktoranckie. Zaangażowana w proces zaglądania za kulisy polityki. Łączę kropki dziś i odnoszę je do myśli politycznej kiedyś. Interesuje mnie historia XX w., ze szczególnym naciskiem na 1989 rok w publicystyce, wywiadzie i reportażu. Próbuję otaczać się dobrymi książkami, dlatego prowadzę Księgarnię Nowej Konfederacji.

Czy to koniec strefy Schengen? Czy będzie rozejm w Palestynie? Czy Putin zje Trumpa na lunch?

Nigdy nie było lepiej. We czwartek na lotnisku w Warszawie wylądował samolot z sekretarzem stanu USA, Antonym Blinkenem. „Ta wizyta potwierdza bliskie i trwałe partnerstwo między Stanami Zjednoczonymi a Polską i podkreśla nasze wspólne zaangażowanie we wspieranie Ukrainy w obronie przed niesprowokowaną rosyjską agresją” – podkreśliła w mediach społecznościowych ambasada Stanów Zjednoczonych w Polsce. Ostatni raz Warszawa stała się celem wizyty amerykańskiego dyplomaty w lutym 2023 roku, gdy towarzyszył prezydentowi Joe Bidenowi. Tym razem Antony Blinken pojawił się w Polsce tuż po serii spotkań w Kijowie, gdzie podkreślał kluczowe znaczenie "intensywnego jesiennego sezonu wojennego" dla Ukrainy oraz nasilających się bombardowań miast i infrastruktury energetycznej. Jak relacjonuje ambasada USA, sekretarz Blinken rozmawiał w Warszawie z szefem polskiego MSZ, Radosławem Sikorskim, a dyskusja ta dotyczyła wspólnych wysiłków na rzecz przeciw-

działania szkodliwemu wpływowi Rosji i jej prowokacyjnym działaniom, z jednoczesnym podkreśleniem roli i zakresu polsko-amerykańskiego partnerstwa strategicznego. „Nasze relacje są na najwyższym poziomie intensywności w historii” – podkreślił Blinken. Wspólna konferencja prasowa nie przyniosła jednak jasnej odpowiedzi na pytanie, czy Stany Zjednoczone rozważają zniesienie ograniczeń w zakresie użycia zachodniej broni dalekiego zasięgu na cele w Rosji. „Dostosujemy się w razie potrzeby, także w odniesieniu do środków, którymi dysponuje Ukraina, aby skutecznie bronić się przed rosyjską agresją” – stwierdził sekretarz stanu USA w odpowiedzi na stanowisko polskiego ministra deklarującego wsparcie dla umożliwienia Ukrainie ataków na rosyjskie terytorium. Wśród rozmówców Blinkena znaleźli się również prezydent Andrzej Duda oraz premier Donald Tusk, wobec których wyraził uznanie dla Polski i jej przywództwa w NATO, podkreślając, jak istotne jest przeznaczanie

przez Polskę ponad 4 proc. PKB na obronność oraz znaczne wysiłki modernizacyjne polskiej armii.

Bez przełomu w Kijowie. Choć wizyta sekretarza stanu USA, Antoniego Blinkena, oraz ministra spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii, Davida Lammy, przyniosła Ukrainie konkretne zobowiązania dalszego wsparcia finansowego, nie udało się osiągnąć porozumienia w kwestii kluczowej obecnie dla Kijowa, a mianowicie rozszerzenia zgody na użycie zachodniego uzbrojenia do ataków na cele w głąb terytorium Rosji. Stało się to szczególnie pilne po ostatnich doniesieniach o nabyciu przez Rosję rakiet balistycznych Fath-360 od Iranu. Być może nie wszystko jednak stracone. Dziś bowiem w Waszyngtonie ma odbyć się spotkanie prezydenta Joe Bidena i premiera Wielkiej Brytanii, Keira Starmera, a wątek użycia rakiet balistycznych dalekiego zasięgu ma być jednym z punktów agendy rozmów. Tymczasem, obydwaj dyplomaci zapowiedzieli w środę udzielenie Ukrainie dodatkowej pomocy w wysokości niemal 1,5 miliarda dolarów: 700 milionów dolarów pomocy humanitarnej ze strony USA oraz 782 miliony dolarów oraz gwarancje pożyczkowe przekazane przez brytyjski rząd. Z uwagi na zbliżającą się zimą, środki te mają docelowo służyć zabezpieczeniu sieci energetycznej będącej pod rosyjskim ostrzałem. Ponadto, mają ułatwić zaopatrzenie Ukraińców w żywność, wodę, schronienie, ułatwić dostęp do opieki zdrowotnej i programów edukacyjnych dla Ukraińców w kraju, jak i dla uchodźców oraz wesprzeć proces usuwania min na ukraińskim terytorium.

„Baw się dobrze”. Wtorkowy wieczór zgromadził przed telewizorami miliony Amerykanów, którzy śledzili pierwszą,

90-minutową debatę prezydencką między Kamalą Harris a Donaldem Trumpem w Filadelfii. Okazała się ona emocjonującym spektaklem, choć komentarze ekspertów wskazują na remis ze wskazaniem na niewielką przewagę wiceprezydent Harris. Sondaże jednak, jak ten przeprowadzony przez Reuters/Ipsos, mówi o rosnącej przewadze kandydatki Demokratów – 47% do 42%. Istotnym punktem dyskusji stała się perspektywa kandydatów na trwającą wojnę na Ukrainie. „Putin jest dyktatorem, który zje cię na lunch” – rzuciła Kamala Harris w kierunku Donalda

Nie udało się osiągnąć porozumienia w kwestii kluczowej obecnie dla Kijowa, a mianowicie rozszerzenia zgody na użycie zachodniego uzbrojenia do ataków na cele w głąb terytorium Rosji

Trumpa, a ten nie przedstawił jasnej deklaracji poparcia dla ukraińskiego zwycięstwa, mimo że w swojej retoryce firmuje on przekaz o zdolności do „zakończenia konfliktu w ciągu 24 godzin”. Kolejnym z wątków dyskusji był stosunek wobec Chin. Harris oskarżyła Donalda Trumpa o „sprzedaż amerykańskich chipów Chinom, aby pomóc im ulepszyć i zmodernizować ich armię”, co Trump skontrolował zapowiedzią nałożenia 60-procentowych ceł na towary chińskie jako kontynuację polityki rozpoczętej już w 2018 roku. Zarówno Harris, jak i Trump mieli okazję do przedstawienia swoich planów poli-

tycznych wobec napiętej sytuacji na Bliskim Wschodzie. Zwycięstwo w wyborach ma być dla Kamali Harris okazją, aby zaostrzyć stanowisko USA wobec Izraela względem tego, co prezentował dotychczas prezydent Biden. Zdaniem Donalda Trumpa jednak, urzędująca wiceprezydent to przepis na zniszczenie Izraela w ciągu dwóch lat od objęcia rządów w Białym Domu. Dla Palestyńczyków natomiast wizja Harris w roli prezydenta jest nieco korzystniejsza z uwagi na wyrażane przez nią poparcie rozwiązania dwupaństwowego. Nie obyło się również bez licznych

„Prawdopodobnie dostałem kulę przez to, co o mnie mówili” – stwierdził Trump w nawiązaniu do lipcowego zamachu na swoje życie

uszczypliwości i prób wzajemnego wyprowadzenia z równowagi. „Prawdopodobnie dostałem kulę przez to, co o mnie mówili” – stwierdził Trump w nawiązaniu do lipcowego zamachu na swoje życie, oskarżając Demokratów o budowę klimatu sprzyjającego atakowi, a samą Kamalę Harris punktując za nieskuteczną walkę z migracją oraz rosnącą inflacją. Wiceprezydent Harris nie pozostawała dłużna, drażniąc swojego republikańskiego rywala i atakując go za jego procesy karne i sposób, w jaki radził sobie z pandemią COVID-19. Oskarżyła go również o konsekwentne wykorzystywanie kwestii rasy do „dzielenia Amerykanów”. Czy dojdzie do powtórki prezydenckiej debaty przez listopadowymi wyborami? Choć Kamala

Harris wyraziła gotowość, Donald Trump wykluczył taką możliwość, wzywając ją do „zajęcia się swoimi obowiązkami jako wiceprezydent”.

Rosyjsko-chińskie manewry. 400 okrętów wojennych, co najmniej 120 samolotów wojskowych i ponad 90 000 żołnierzy ma być zaangażowanych w strategiczne ćwiczenia wojskowe „Ocean-24”, w które zaangażowane są siły morskie i powietrzne Rosji oraz Chin. Potrwać do 16 września, a 15 krajów zostało zaproszonych w charakterze obserwatorów. Chińskie ministerstwo obrony poinformowało, że oprócz wspólnych ćwiczeń w pobliżu Japonii, floty morskie przeprowadzą piąty wspólny patrol na Oceanie Spokojnym. Zdaniem analityków, połączone działania sił morskich i powietrznych są działaniem Rosji i Chin mającym na celu pogłębienie więzi wojskowych, przeciwdziałanie sprawniejszej koordynacji działań w zakresie bezpieczeństwa między Stanami Zjednoczonymi a ich sojusznikami w regionie Indo-Pacyfiku, zwiększenie presji na USA oraz ograniczenie ich aktywności militarnej w Europie. Z drugiej strony, Chiny mają nadzieję odwrócić uwagę Japonii od wód w pobliżu Cieśniny Tajwańskiej, co wzbudza zaniepokojenie rządu w Tokio, który już w ubiegłym roku określił mianem „poważnego problemu” fakt coraz bardziej zażyłych relacji między Pekinem a Moskwą. Od lipca bowiem przeprowadzono już co najmniej trzy wspólne ćwiczenia wojskowe w różnych częściach świata – na Morzu Południowochińskim, w Zatoce Fińskiej oraz w pobliżu Alaski.

Ład światowy w opałach. Dyrektor CIA, Bill Burns, i szef MI6, sir Richard Moore, po raz pierwszy w historii 77-

letniej współpracy wywiadowczej obydwu agencji wspólnie wystąpili publicznie podczas festiwalu organizowanego w Londynie przez „Financial Times”. Jak relacjonuje brytyjski dziennik, szefowie służb wywiadowczych mówili o tym, co określili jako niespotykany dotąd wachlarz zagrożeń dla międzynarodowego porządku światowego, począwszy od wojny Putina na Ukrainie i rosyjskich działań sabotażowych w Europie, przez rozwój Chin i szybkie zmiany technologiczne, po trwający konflikt na Bliskim Wschodzie. „Nie mogę powiedzieć, jak blisko jesteśmy teraz” – stwierdził szef CIA, nawiązując do rozmów, jakie mają toczyć się pomiędzy Izraelem a Hamasem w sprawie potencjalnego zawieszenia broni w Strefie Gazy. Podkreślił jednak, że rozwiązanie dwupaństwowe jest kluczowe dla zapewnienia trwałego pokoju. Obaj szefowie służb odnieśli się również do gróźb nuklearnej eskalacji ze strony Rosji, mówiąc, że nie należy lekceważyć gróźb Putina, ale jednocześnie Zachód nie powinien być niepotrzebnie zastrasżany. Zgodnie przyznali jednak, że największym wyzwaniem dla Zachodu jest rozwój Chin. Bill Burns przekazał, że fundusze, jakie CIA przeznaczająca na rzecz Chin, potrojiły się w ciągu ostatnich trzech lat i stanowią 20 procent budżetu agencji, a on sam dwukrotnie w ciągu ostatniego roku podróżował do Chin na rozmowy, aby „uniknąć niepotrzebnych nieporozumień”. Dodatkowo, w artykule opublikowanym w „Financial Times”, zarówno Burns, jak i Moore wskazali, że obecnie „międzynarodowy porządek świata jest zagrożony w sposób, jakiego nie widzieliśmy od czasów zimnej wojny”.

Hamas gotowy na rozejm? Po śródowym spotkaniu katarskiego premiera, Mohammed bin Abdulrahman Al Thani

i dyrektora egipskiego wywiadu, Abbasa Kamela, z głównym negocjatorem Hamasu Khalilem al-Hayyą w Dosze, palestyńska organizacja potwierdziła swoją gotowość do przyjęcia o zawieszeniu broni w Strefie Gazy, pierwotnie zaproponowanego w maju, przez prezydenta USA, Joe Bidena. Jak podają media, presja na zawarcie umowy nasiliła się po tym, gdy władze Izraela ogłosiły na początku września śmierć sześciu zakładników, których ciała wyłowiono z tunelu w Gazie. W swoim oświadczeniu Hamas podkreślił jednak żądanie, aby Izrael wycofał się z wszystkich

400 okrętów wojennych, co najmniej 120 samolotów wojskowych i ponad 90 000 żołnierzy ma być zaangażowanych w strategiczne ćwiczenia wojskowe „Ocean-24”

terytoriów okupowanych w Strefie Gazy, a potencjalne porozumienie nie powinno zawierać żadnych ustaleń ponad te, które przedstawiono już uprzednio w planie pokojowym amerykańskiej administracji. Rząd w Tel-Awii utrzymuje natomiast konieczność utrzymania kontroli nad tzw. Korytarzem Filadelfijskim – strefą na granicy Egiptu i Strefy Gazy, która pozostaje punktem spornym negocjacji i uważana jest za główny punkt przerzutu uzbrojenia dla Hamasu.

To koniec strefy Schengen? We wtorek niemiecki rząd oświadczył, że podej-

muje zdecydowane kroki w celu zwalczania nielegalnej migracji i przestępczości po niedawnym ataku nożownika w Solingen, który miał zostać zainspirowany przez Państwo Islamskie. Na przyszły tydzień zaplanowane jest przywrócenie kontroli na wszystkich dziewięciu granicach państwowych i ma trwać przez sześć miesięcy. Należy jednak pamiętać, że Niemcy już w ubiegłym roku nałożyły ograniczenia na swoje granice z Polską, Czechami, Austrią i Szwajcarią, a bieżące rozszerzenie obejmie również Francję, Luksemburg, Holandię, Belgię i Danię. Ekspertki wskazują, że jest to podyktowane nie tylko reakcją na ostatnie śmiertelne ataki, lecz także na wzrost poparcia dla partii prawicowych, co uwydatniły tylko wybory landowe w Turyngii i Saksonii, a kolejne odbędą się już 22 września w Brandenburgii, kraju związkowym otaczającym Berlin. Premier Donald Tusk określił niemieckie działanie jako krok „nie do przyjęcia” i wezwał do pilnych konsultacji w gronie wszystkich krajów, których dotknie decyzja rządu w Berlinie. Obawy związane z ograniczeniem swobodnego przepływu osób wyrażają także podmioty i związki przemysłowe. Prezes Niemieckiej Federacji Hurtowej, Handlu Zagranicznego i Usług, Dirk Jandura, oświadczył, że przywrócenie kontroli granicznych oznaczać będzie opóźnienia i wzrost kosztów dla gospodarki w zakresie handlu zagranicznego.

Żałoba w Peru. W wieku 86 lat zmarł Alberto Fujimori, były prezydent Peru, którego postać i dorobek polityczny budzi w kraju niezwykle skrajne emocje. Sprawując władzę w latach 1990-2000, czasie,

kiedy w Peru rozwijał się kryzys związany z hiperinflacją, skutecznie uniknął załamania gospodarczego. Poprzez aresztowanie Abimaela Guzmána w 1992 roku przez służby bezpieczeństwa, z sukcesem poradził sobie również z rebelianckim ugrupowaniem „Świetlisty Szlak”, za co zyskał międzynarodowe uznanie, nawet pomimo śmierci 70 tysięcy osób w efekcie wojny domowej. Z drugiej strony, zapisał się w historii jako autorytarny przywódca, który używał sił bezpieczeństwa do represji wobec oponentów, a jego rząd odpowiedzialny jest za kampanię przymusowych

Fujimori zapisał się w historii jako autorytarny przywódca, który używał sił bezpieczeństwa do represji wobec oponentów, a jego rząd odpowiedzialny jest za kampanię przymusowych sterylizacji kobiet

sterylizacji kobiet pochodzących z rdzennych i ubogich regionów kraju. Utraciwszy władzę, usłyszał wyroki za poważne naruszenia praw człowieka i korupcję, choć do końca utrzymywał, że każde z jego działań podyktowane było dobrem kraju, a na 2026 rok planował ponowny start w wyborach prezydenckich. We czwartek urzędująca prezydent Peru, Dina Boluarte, podpisała dekret o trzydniowej żałobie narodowej.

Misja

Świat intelektualny – od mediów po uniwersytety – nie nadąza dziś za gwałtownymi przemianami rzeczywistości politycznej, gospodarczej i społecznej. Opisuje je w dużej mierze za pomocą kategorii z poprzednich epok. To zasadniczo obniża jakość rządzenia, które musi rozstrzygać dylematy przy użyciu wiedzy dostępnej w danej chwili. Deficyt tej ostatniej zwiększa ryzyko decyzji błędnych lub wręcz katastrofalnych, jak również – dominacji fałszywych ideologii. Polski dotyczy to w stopniu szczególnym, ze względu na trudne położenie geopolityczne i słabość intelektualną (uniwersytetów, mediów, think tanków).

Nowa Konfederacja powstała, by temu kryzysowi myśli przeciwdziałać. Na sześć zasadniczych sposobów:

- 1) zbieranie dostępnej wiedzy na strategicznie istotne tematy i tworzenie nowej
- 2) kształtowanie opinii elit i polskiej kultury strategicznej
- 3) pomoc rządzącym różnych opcji politycznych poprzez radę i krytykę
- 3) oddziaływanie na główny nurt debaty za pomocą komentatorstwa politycznego
- 4) przybliżanie dziennikarzom i politykom ważnych idei rodzących się w niszach eksperckich i akademickich
- 5) utrzymywanie realnej niezależności od partii politycznych, wyścigu o klikalność, wielkiego kapitału
- 6) formułę thinkzine’u: pierwszego w Polsce i prawdopodobnie na świecie think tanku i magazynu publicystycznego w jednym, umożliwiającą lepszą komunikację i synergię między ekspertami z różnych dziedzin oraz między specjalistami a publicystami i intelektualistami; wszystko po to, aby po pierwsze: zwiększać poziom wiedzy specjalistycznej, po drugie i ważniejsze: budować całościowy obraz rzeczywistości.

Działamy w duchu ordokonserwatywnym: szukania ładu społecznego w błyskawicznie zmieniającej się rzeczywistości oraz kultywacji wartości wiecznych i sprawdzonych w czasie.

Nasze główne wartości to:

- odrzucenie nihilizmu, cynizmu i ekonomizmu na rzecz **służby wspólnotom, zwłaszcza polskiej wspólnotie politycznej**
- **dbałość o państwo**: posiadanie niepodległej organizacji politycznej uważamy za jedną z najwyższych wartości w życiu narodu, podobnie jak zabiegi o jej sprawność, trwałość, konkurencyjność na arenie międzynarodowej; jesteśmy państwowcami
- **zdrowy indywidualizm**, realizujący się we wspólnotach i dla wspólnot, a nie tylko dla siebie

- **realizm**: twarde stąpanie po ziemi i odrzucenie wszelkich obietnic raję doczesnego, krytycyzm wobec romantyzmu politycznego, idealizmu i konstruktywizmu w podejściu do spraw międzynarodowych
- **współczująca merytokracja**: dążenie do “arystokracji cnót i zasług” wrażliwej zarazem na los słabych i pokrzywdzonych
- **inkluzywny elitaryzm**: tworzenie nowych elit w starym stylu, nowoczesnych i służebnych, stale otwartych na nowych ludzi
- **ordokonserwatywna ekologia**: rozumiana jako szacunek do przyrody i krajobrazu, ale też wyczulenie na zawłaszczanie szczytnych celów ekologicznych do partykularnych celów politycznych i biznesowych.

Jesteśmy **konfederacją** – związkiem obywateli dążących razem do dobra wspólnego, w sytuacji gdy inne instytucje zawodzą.

Jesteśmy niezależni tak od partii politycznych, jak i od rywalizacji na klikalność. Jest to możliwe przede wszystkim dzięki hojności naszych Darczyńców. Utrzymanie niezależności i poziomu merytorycznego oraz dalszy rozwój, przybliżający realizację powyższych celów zależą od utrzymania i rozwoju finansowania poprzez bezwarunkowe darowizny na cele statutowe. Pieniądze nie są dla nas celem, lecz środkiem do realizacji powyższej misji. Jeśli cenisz Nową Konfederację – wesprzyj ją.

Działalność

Do listopada 2017 r. „Nowa Konfederacja” była pierwszym w Polsce internetowym miesięcznikiem idei (pierwszych 51 numerów ukazało się w formule e-tygodnika, między październikiem 2013 a wrześniem 2014). Dziś „Nowa Konfederacja” to prawdopodobnie pierwszy na świecie thinkzine. To nowa forma instytucji eksperckiej i publicystycznej jednocześnie. Umożliwia to z jednej strony lepsze niż dotąd gromadzenie i tworzenie wiedzy specjalistycznej, z drugiej: efektywniejszą pracę nad całościowym opisem rzeczywistości publicznej.

Do tej pory podstawowym sposobem prezentacji takich owoców była publicystyka, która cały czas odgrywa ważną rolę w naszej działalności. Obecnie każde kolejne wydanie e-miesięcznika zawiera 10 materiałów – artykułów analitycznych, esejów, wywiadów. Dwa razy w tygodniu publikujemy komentarze reagujące na bieżące wydarzenia. Swoje miejsce ma u nas także felieton – wymierający gatunek na pograniczu dziennikarstwa i literatury pięknej, ukazujący się co najmniej raz w miesiącu.

Od listopada 2017 roku stawiamy także na działalność ekspercką. Specjaliści od spraw ustrojowych, międzynarodowych, prawa, obronności, gospodarki, samorządu i nie tylko publikują w „Nowej Konfederacji” raporty, analizy, komentarze eksperckie.

Zarówno publicyści, jak i eksperci związani z „Nową Konfederacją” występują w mediach, zarówno pracując w różnych tytułach, jak i występując w nich gościnnie czy komentując dla nich bieżące wydarzenia. Jesteśmy obecni na łamach największych polskich dzienników i tygodników, w internecie, na falach stacji radiowych, regularnie występujemy także w programach telewizyjnych stacji publicznych i prywatnych.

Ważnym elementem naszej działalności są także otwarte debaty, które organizujemy co najmniej raz w miesiącu. Zaproszeni przez nas goście – naukowcy, politycy i dziennikarze – dyskutują wokół kolejnych naszych publikacji, a także na bieżące tematy społeczno-polityczne. Jesteśmy obecni także w mediach społecznościowych – na Facebooku, Twitterze czy YouTube.

„Nową Konfederację” tworzą

Stali Darczyńcy: Adam Lausch-Holubowicz, Roland Woldański, Rafał Kozłowski, Lukasz Zajac, Kamil Kaczmarek, Wojciech Michna, Krzysztof Gwardys, Aleksander Zawisza, Andrzej Sergiel, Bartosz Brzuska, Grzegorz Nowak, Grzegorz Szuba, Jakub Stychno, Jan Kłosiński, Janina Sobczak-Kowalak, Jarosław Cymerman, Jarosław Prendota, Jerzy Martini, Jurek Ludwik, Kazimierz Woźniak, Maciej Nowicki, Maciej Sabat, Michał Kocur, Michał Kuliński, Mikołaj Podbielski, Paweł Buława, Piotr Kubiak, Rafał Ambrożewicz, Sebastian Walczak, Tomasz Hanaj, Tomasz Stasiak, Bartosz Marczuk, Joanna Baczała, Krzysztof Łyczba, Łukasz Karcz, Małgorzata Kurzawa, Mateusz Świerczek, Mirek, Piotr Jędorowicz, Piotr Tutak, Sławomir Gajowniczek, Bartłomiej Kachniarz, Sylwia Niederwieser, Tomasz Tarczyński, Tomasz Wątroba, Wojciech Chabasiewicz, Michał Macierzyński oraz Anonimowi Darczyńcy

Pozostali Darczyńcy: Mateusz Böhm, Artur Chojecki, Jacek Honczaruk, Michał Król, Ignacy Kodym, Maciej Szczytowski, Ewa Urbanek, Andrzej Dobrowolski, Dariusz Meiser, Jarosław Prendota, Amadeusz Putzlacher, Piotr Remiszewski, Michał Sabat, Piotr Woźny, Marek Nowakowski, Edyta Ostaszewska, Krzysztof Poradzisz, Konrad Rajca, Karol Tatar, Denis Wojtek, Grzegorz Zaton, Andrzej Biewald, Krzysztof Domarecki, Jacek Ebertowski, Kamil Ludwiczuk, Piotr Przybysz, Maciej Stańczuk, Krzysztof Soja, Jan Bondyra, Piotr Maliszewski, Wojciech Nedwed, Grzegorz Szura, Kamil Szymik, Paweł Wojtecki, Antoni Bielewicz, Krzysztof Popowski, Paweł Majewski, Adrian Pabich, Rafał Dąbrowski, Bartłomiej Kawalek, Wojciech Maksymowicz, Bożenna Zalewska, Tomasz Żukowski, Alex Klarman, Darek Lasocki, Krzysztof Popowski, oraz Anonimowi Darczyńcy

(Lista Darczyńców jest uaktualniana na początku każdego miesiąca)

Zespół: Bartłomiej Radziejewski (Dyrektor), Anna Szczerbata (Dyrektor ds. organizacyjnych i finansowych), Aleksandra Flis (Dyrektor Wydawnictwa Nowej Konfederacji), Ewa Makowska (Kierownik ds. promocji i fundraisingu, wicesekretarz NK), Milena Duda (Specjalista ds. promocji), Gabriela Masztafiak (Kierownik księgarni oraz działu debat), Stanisław Kruszona-Barełkowski (Specjalista ds. wydarzeń), Katarzyna Karpik (asystentka zespołu), Jarema Piekutowski

Rada Programowa NK: Przemysław Gębala, Robert Kuraszkiewicz, Stanisław Maksymowicz, Bartłomiej Radziejewski, Anna Szczerbata, Krzysztof Zalewski, Jarema Piekutowski

Stali współpracownicy: Paweł Behrendt, Łukasz Kobeszko, Michał Lubina, Stanisław Maksymowicz, Rafał Matyja, Anna Mieszczanek, Andrzej Mikosz, Adam Radzimski, Marek Wojnar, Karol Zdybel, Adam Michalak, Witold Sokała, Piotr Celiński, Patryk Gorgol, Krzysztof Sękowski, Tomasz Gajewski

Współpracownicy: Michał Beim, Ludwik Dorn, Błażej Duber, Stanisław Gasik, Tomasz Geodecki, Tomasz Grzegorz Grosse, Elżbieta Hibner, Maria Libura, Damian Maziarz, Filip Memches, Tomasz Pichór, Tomasz Pułról, Witold Repetowicz, Jan Rokita, Błażej Sajduk, Wojciech Stanisławski, Zbigniew Stawrowski, Barbara Szewczyk, Artur Wołek, Krzysztof Wołodźko, Roman Graczyk, Paweł Średziński, Andrzej Horubała, Michał Chudoliński

Grafika (okładki): Piotr Promiński

Korekta i redakcja stylistyczna: Jarema Piekutowski

Skład: Rafał Siwik

Wydawca: Fundacja Nowa Rzeczpospolita

Kontakt: redakcja@nowakonfederacja.pl